Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 21. Listopada 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 47.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

CZYJA WINA?

OBRAZEK DRAMATYCZNY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

OSOBY:

Jadwiga Karłowiecka.
Leon malarz.
Służący.

W mieszkaniu Jadwigi Karłowieckiej.

SCENA I.

Służący (wprowadzając Leona) — Pani zaraz nadejdzie.

Leon (sam). Nie mogę potłumić wzruszenia, ani bicia serca. Trzy razy brałem za dzwonek i trzy razy chciałem się cofnąć. Niespokojność ogarnia mnie całego. Dlaczego ona mnie wzywa *(wydobywa list)*. »Zechciej pan przyjść do mnie w sprawie niecierpiącej zwłoki. Pomimo wszystkiego, co przeszło i zgasło, spodziewam się, że nie odmówisz prośbie kobiety. Jadwiga Karłowiecka...« Może o wiele rozumniej, bezpieczniej i uczciwiej byłoby zostawić list ten bez odpowiedzi, ale, oszukiwałem się sam, wmawiałem w siebie, że się już nic stać nie może; że prostem brutalstwem byłoby nie przyjść i biedna ćma, dusza, leci do światła, które ją może spalić, ale ani ogrzać, ani rozświecić... Co mnie tu ciągnęło? Czy miłość? Alboż ja sam mogę odpowiedzieć na pytanie, czy jeszcze kocham tę kobietę, tak niepodobną do mojej dawnej białej dziewczynki, tę pół-lwicę, której opinję szarpią ludzkie języki? Nie!... To raczej jakaś bolesna ciekawość ciągnęła mnie tu, to ten żal niezmierny, którego dwa lata nie mogło ukoić; to pragnienie wyjaśnień wszystkich: dlaczego? powtarzane wśród nocy bezsennych. Zresztą niech zobaczy tę wychudzoną twarz, niech przyjrzy się zblizka złamanemu życiu! Nie mogłem się oprzeć: taka zemsta należy mi się! Potrafię jednak być dumnym i zacisnąć zęby, by nie jęknąć. Co się stało, odstać się nie może i przysięgam sobie, ot tak! *(składa ręce)* nie odstanie się nigdy.

SCENA II.

Jadwiga (wchodząc). Przepraszam, że pozwoliłam tak długo czekać na siebie.

Leon. To zapewne moja wina, żem przybył zawcześnie, choć starałem się przyjść na oznaczoną godzinę.

Jadwiga. Nie, panie! Muszę być otwartą i powiedzieć jak było. Przedtem znaliśmy się tak dobrze, a nie widzieliśmy się dwa lata. Sama pana wezwałam, ale nie byłam pewna, czy pan przyjdzie; więc... gdy dzwonek się ozwał... po dwóch latach... *(z uśmiechem)* potrzebowałam trochę czasu, by opanować... wrażenie. Myślałam, że to trochę potrzebne dla nas obojga.

Leon. Jestem spokojny, pani i... słucham...

Jadwiga. Chciałam także, byśmy przywitali się jak ludzie, którzy o przeszłości zapomnieli, którzy wiedzą, że ona nie wróci, i odrazu byli ze sobą jak dobrzy znajomi... nie śmiem powiedzieć: jak brat i siostra... Więc, panie Leonie, oto moja ręka, a teraz niech pan siada i powie mi, czy ugoda staje?

Leon. Zastosuję się do życzenia pani...

Jadwiga (przerywając). Byłoby trudne, gdyby nie pierwszy warunek: o przeszłości ani słowa! Jeśli go dotrzymamy oboje, życzliwość przyjdzie sama przez się i możemy zostać z czasem przyjaciołmi. Co pan robił przez te dwa lata?

Leon. Pchałem taczkę życia, jak wszyscy śmiertelni. W każdy poniedziałek myślałem sobie, że za tydzień będzie znowu poniedziałek... Zapewniam panią, że jest w tem pewna rozrywka, widzieć jak się tak dni odwijają jak nici z kłębka, i jak wszystko co się zdarzyło oddala się, oddala i niknie stopniowo z oczu na kształt odlatującego ptaka...

Jadwiga. Rozrywka to dobra dla tych, dla których nowy ptak z nową piosenką nadlatuje z przyszłości. Ale w przeciwnym razie...

Leon. W przeciwnym razie większa jeszcze może pociecha pomyśleć, że gdy się wszystko z kłębka odwinie, nie pozostanie nic. Wspomnienia bywają czasem bardzo bolesne; szczęście, że czas przytępia ich ostrza, inaczej kłółyby jak ciernie.

Jadwiga. Albo parzyły jak ogień.

Leon. Mądra natura wymyśliła i na to radę. Ogień niepodsycany zgasnąć musi, a popiół nie parzy...

Jadwiga. Mimowoli gonimy oboje tego ptaka, który odleciał. Dosyć o tem. Dużo pan malował w ostatnich czasach?

Leon. Nic innego nigdy nie robię: rozmyślam i maluję. Wprawdzie dotąd nie wymyśliłem nic, a wymalowałem niewiele. Ale to nie z mojej winy. Lepiej zechciej mi pani łaskawie i otwarcie powiedzieć dlaczego mnie wezwałaś?

Jadwiga. Przyjdzie to samo z siebie. Na razie powinna mnie wytłómaczyć, choćby ciekawość widzenia wielkiego człowieka. Wymalowałeś pan tyle, że dziś imię jego znane jest w całej Europie.

Leon. Posądzisz mnie pani o zarozumiałość, ale doprawdy mniemam, że nie byłem pierwszym lepszym pionkiem na szachownicy salonowej i ot! dlatego może przez dwa lata myślałem i nie mogłem zrozumieć, czemu zabito mnie i odrzucono na bok, jak zwyczajnego pionka.

Jadwiga. Panie Leonie!... a nasza umowa?...

Leon. To historja opowiadana przedmiotowo, jakby przez osobę trzecią. Czyniąc zadość drugiemu warunkowi umowy otwartości — dodaję, że przyzwyczaiłem się już do mojej taczki.

Jadwiga. Nie wspominajmy o tem.

Leon. Przestrzegałem panią, że to będzie trudno.

Jadwiga. Panu powinno być łatwiej. Pan wybraniec sztuki i chluba całego narodu, a zarazem jego rozpieszczone dziecko, może całą duszą żyć w teraźniejszości i przyszłości. Jest z czego żyć, jest z czego czerpać. Z kwiatów rzucanych pod nogi, można zawsze wybrać najpiękniejszy, albo i nie wybierać, tylko iść zawsze po kwiatach i po kwiatach...

Leon. Póki się nie upadnie...

Jadwiga. Nie! Iść ku nieśmiertelności.

Leon. Tęskniąc po drodze za śmiercią.

Jadwiga. To zbytni pesymizm, jak na człowieka, który mówi, że przyzwyczaił się do swej taczki.

Leon. Chcę tylko odmalować drugą stronę medalu. Przytem, pani!... pesymizm jest dziś bardzo modny. Proszę nie brać słów moich ściśle. W salonie nawłóczy się wyrazy na nitkę rozmowy jak paciorki. To tylko zabawa...

Jadwiga. Bawmy się więc... *(Po chwili).* Ach! ile to zmian! w głowie mi się nie chce pomieścić. Gdyby mi kto powiedział, temu dwa lata, że my będziem ot siedzieć dziś tak z daleka i prowadzić taką rozmowę i patrzeć na siebie z taką czujną ciekawością, jak dwie istoty zupełnie obce, nie uwierzyłabym! O! doprawdy, to bardzo zabawne!...

Leon. Nie wypada mi przypominać umowy...

Jadwiga. A jednak przypominasz ją pan... Dziękuję! Ten zwrot melancholiczny, to wina moich nerwów. Ale czuję, że mi to nie do twarzy. Niech pan będzie pewny, że nie wejdę więcej na tę ciernistą ścieżkę, choćby... przez miłość własną. Ja także bawię się jak mogę, i do dawnych wspomnień wracam chyba... z nudów. Od kilku dni nudziłam się okropnie.

Leon. I dlatego kazałaś mi tu przyjść, pani. Obawiam się, że moja osoba nie będzie zbyt obfitem źródłem rozrywki. Ja jestem człowiek z usposobienia mało wesoły, a na przedmiot do zabawy za wiele wart, za dumny i za uczciwy. Pozwól mi pani odejść.

Jadwiga. Proszę mi przebaczyć: nie chciałam pana obrazić. Nie wracając do dawnych wspomnień, mogę powiedzieć, że duma, to największa wada pana i, gdyby nie ona, wiele rzeczy bardzo smutnych nie byłoby się stało.

Leon. Nie wracając do dawnych wspomnień, odpowiem pani, że to jedyny żagiel, który pozostał na mojej łodzi. Wszystkie inne wiatr życia potargał. Gdyby nie ten ostatni, myślę, że dawno poszedłbym na dno.

Jadwiga. Ja sądzę przeciwnie, że to skała, o którą rozbiła się nietylko łódź pana. Ale mniejsza o to! Tem gorzej dla tych, którzy uwierzyli w pogodę i gładką toń. Nie pozwalajmyż choć teraz prądowi nieść się tam, gdzie oboje nie pragniemy płynąć.

Leon. I gdzie mielizny pewne...

Jadwiga. E! dziwną prowadzimy rozmowę. Zdaje mi się, że to sieć, w której prawda leżąca na dnie duszy, szamoce się napróżno, nie mogąc zerwać węzłów. Ale to może lepiej.

Leon. To daleko lepiej. Pisałaś mi pani, że wzywasz mnie w sprawie niecierpiącej zwłoki — słucham więc.

Jadwiga. Tak!... *(z uśmiechem)* Kobiecie światowej wolno mieć swoje fantazje i zachcianki: czasem niewytłómaczone fantazje, którym jednak niewolno panom odmawiać. Otóż zapragnęłam mieć mój portret, skreślony ręką mistrza, Leona. Czy zechcesz go pan malować?

Leon. Pani!...

Jadwiga. Ach! lwie czoło pokrywa się zmarszczkami, zupełnie jakbym tem życzeniem chciała wyrządzić pauu jaką obelgę...

Leon. Myślę tylko, że fantazje kobiet światowych są istotnie czasem bardzo niewytłómaczone i bardzo do żartów podobne.

Jadwiga. Ta sprawa ma dwie strony! Pierwsza strona: formalna, — przedstawia się w ten sposób: Pani Jadwiga Karłowiecka prosi najuprzejmiej sławnego mistrza Leona o wykonanie jej portretu. Oto wszystko! Mistrz Leon, który, jak wiadomo maluje ich mnóstwo, nie ma żadnego powodu do odmowy. Malarz nie może odmówić portretu, tak jak doktor pomocy. Powstaje tylko druga strona... przeszłość!... Ale umówiliśmy się, że o tem nie wolno nam wspominać...

Leon. Pozwól pani!...

Jadwiga (przerywając). O przeszłości ani słowa! proszę bardzo. *(Śmieje się)* Ach! moja dyplomacja kobieca umie zawiązać węzeł i końce utopić w wodzie. Jakże się cieszę z pańskiego kłopotu. Ale jest w tem i coś innego. Przypuść pan, że ja jestem istota próżna, pełna miłości własnej kobiecej, pełna drobiazgowej zawiści i zazdrości. Otóż malowałeś pan portret pani Zofji i Heleny, ja chcę mieć mój także. Tego się kobietom nie odmawia. Sława pana dochodzi mnie ze wszystkich stron, naokoło słyszę słowa: nasz wielki, nasz mistrz! Towarzystwa rozrywają pana; Bóg wie ile piersi podnosi się za tobą westchnieniem, wszyscy mogą mieć dzieła twoje, wszyscy mogą zbliżać się do pana, widzieć go, szczycić się jego znajomością: ja tylko jedna, towarzyszka lat dziecinnych, dawna znajoma, ja tylko jedna jak wyklęta!...

Leon. Pani Jadwigo!...

Jadwiga. A! nazwałeś mnie pan po imieniu! Dziękuję, i przepraszam bardzo! To miłość własna kobieca, nic więcej, proszę się nie lękać! to moje nerwy. Widzi pan jak niebezpiecznie jest mnie rozdrażniać. Czasem bywa mi bardzo samotnie... więc potem jestem nieznośna. Ale jużem spokojna. Zresztą daję panu trzy dni czasu do namysłu. Jeśli pan nie zechce przyjść, proszę mi odpisać... *(Śmiejąc się smutno)* Tylko ostrzegam, że jeśli pan ani przyjdzie, ani odpisze, rozgadam na wszystkie strony, że się pan mnie boi i tem uspokoję moję miłość własną. Tymczasem, przez wzgląd na moje nerwy, ani słowa więcej o odmowie, ani słowa panie Leonie. Ja jestem trochę chora, a więc grymaśna...

Leon. Za trzy dni odpiszę pani, *(wstając)* a teraz żegnam.

Jadwiga. O! ho! nie tak to łatwo! Na serjo pomyślę, że pan się mnie boi. Wiem wprawdzie, że mam opinią kokietki i wietrznicy, wiem nawet, że mówią o mnie wiele złego; ale w gruncie rzeczy nie jestem taka czarna jak się wydaję. Prócz tego, my jesteśmy jak dobrzy znajomi, którzy niegdyś... którzy się nie widzieli od dwóch lat, więc pogadamy trochę ze sobą. Proszę mi oddać kapelusz: ot tak! Teraz pogadamy. Doprawdy, możemy zostać jeszcze przyjaciółmi. Ja przynajmniej... Co pan zamierza na przyszłość, prócz malowania mego portretu?...

Leon. Rozmowę o mnie wyczerpalibyśmy bardzo prędko; wybierzmy inny, bardziej zajmujący przedmiot. Niech pani mówi o sobie, o swem życiu i o swej rodzinie.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE WSPOMNIEN JANA BARTKOWSKIEGO.*)

Wspomnienia te są urywkiem ze «Zbioru pamiętników do historji powstania z r. 1830—1831», który w tych dniach ma wyjść z druku staraniem Komisji wydawnictw pamiątkowych, na uczczenie pięćdziesięcioletniej rocznicy listopadowej.

I.

Ostatnie chwile przed wybuchem powstania. — Noc 29. listopada. — Organizacja wojska.

Gdy wróciłem pod koniec wakacji 1830 r. do Warszawy, zdawała mi się zrazu pustą, ponieważ młodzież uniwersytecka po większej części była jeszcze na prowincji. Spotkałem wszelakoż kilku znajomych kolegów, którzy mi udzielili wielką nowinę, o której gazetom jeszcze nie wolno było pisać. Była to pierwsza wieść o rewolucji we Francji. Im bliższe dochodziły nas szczegóły o walce lipcowej, tem większe wzbudzały w nas nadzieje. Wkrótce uczniowie uniwersytetu zaczęli wracać do stolicy, a że i wojsko zabierało się do opuszczenia obozu pod Powązkami, akademicy i podchorążowie, oraz oficerowie młodsi piechoty, garnęli się skwapliwie w małe kółka i cichaczem rozprawiali już nie tyle o wypadkach w Paryżu, jak więcej, o prawdo-

*) P. Jan Bartkowski, obecnie profesor liceum w Nancy, od dawna już rozpoczął pracę nad skreśleniem swoich pamiętników. Niektóre ich części są już spisane; do innych, jak opisu wyprawy na Litwę pod dowództwem Samuela Różyckiego, powrotu z jenerałem Dembińskim, wędrówki emigracyjnej do Francji i wyprawy z Mazzinim do Sabaudji w lutym r. 1834 — posiada Szan. Autor tylko notaty dotąd nieuporządkowane. Z ustępów znpełnie już wykończonych podajemy poniżej dwa, wchodzące w zakres naszego wydawnictwa, t. j. wspomnienia z ostatnich tygodni przed dniem 29. listopada i pierwszych chwil po wybuchu rewolucji, jakoteż opis bitew pod Stoczkiem i Nową wsią, stoczonych w lutym r. 1831. (P. R.)

podobieństwie powstania własnego kraju i o pomocy, jakiej można było się spodziewać w takim razie ze strony Francji. Wiara w bliskie poruszenie upowszechniała się coraz więcej między mieszkańcami Warszawy i zagrzewała coraz bardziej ich doświadczoną gotowość do czynu Tymczasem zapał młodzieży objawiał się w nieroztropnych ale dość naturalnych wybuchach nienawiści narodowej przeciw Moskalom, a nawet i Niemcom przebywającym w Warszawie, których czubiono, kiedykolwiek okazja się nastręczyła.

Usposobienie to okazało się jawnie po nabożeństwie żałobnem, którem uczniowie uniwersytetu postanowili uczcić pamięć męczenników poległych na Pradze 1794 r. Zamówiono nabożeństwo u OO. Kapucynów. Katafalk był ozdobiony licznym zbiorem staroświeckiej broni polskiej i tureckiej. Kościoł zapełnił się akademikami i ksiądz już był gotów wyjść ze mszą, kiedy wiceprezydent miasta Warszawy, czyli raczej naczelnik policji, Lubowidzki, wpadł do zakrystji i księdzu zakazał odprawić nabożeństwo.

Nie daliśmy się wszelako odwieść od powziętego zamiaru. Posłano w deputacji dwóch uczniów do księdza proboszcza na Pradze i zamówiono na dzień następny nabożeństwo za dusze „zmarłych braci". Nie wiem, czy ksiądz się domyślił intencji prawdziwej lub nie. Nabożeństwo jednak zostało odprawionem w asystencji niemal wszystkich uczniów uniwersytetu.

Wychodząc z kościołka, który nawet nie mógł pomieścić nas wszystkich, ujrzeliśmy przy drzwiach wieśniaka w podeszłym wieku z kilkoma pękami sękatych kijów dębowych, które z lasu niósł do Warszawy na sprzedaż. Tknięci myślą, że ten staruszek może był towarzyszem broni Kościuszki, równocześnie kilku ofiarowało mu wsparcie. Wtem któryś z kolegów wyciąga jeden z tych kijów i pyta: „Po czemu to ojcze sprzedajecie te kije?" — „Po dwa grosze, paniczu." — „Jakto, po dwa grosze? — wszakże to są wojdówki, i każda warta przynajmniej z dziesięć groszy." Biorąc zarazem dębniak jeden, zapłacił zań dziesiątaka. Za tym przykładem dziesięciogroszówki posypały się jak grad do kapelusza biednego starca i w mgnieniu oka wszystkie kije zostały rozebrane. Tak uzbrojeni w wojdówki wracaliśmy gromadnie do Warszawy, aż tu na środku mostu spotykamy znanego szpiega Jurgaszkę, kapitana żadarmerji, który z brzydkiej kałmuckiej twarzy już nieco podobny do w. księcia Konstantego, przez służalstwo jeszcze bardziej usiłował naśladować go w postawie i w noszeniu kapelusza. „Zapóźno idziesz nas szpiegować" — zawołali pierwsi, którzy go spotkali. Niecny wyrodek, oplwany przez młodzież przechodzącą, przycisnął się do poręczy mostu i — jakby pies obity, z wciśniętym między nogi ogonem — spiesznie i milczkiem dążył na Pragę. Sądziliśmy, że nastąpią poszukiwania ze strony władz; ale widać przez wzgląd na zbyt znaczną liczbę winowajców zaniechano dalszej inkwizycji i cała sprawa zakończyła się zwołaniem wszystkich wydziałów uniwersytetu do wielkiej sali posiedzeń, gdzie ks. rektor Szwejkowski musiał nam dać upomnienie za postępek, który z rozkazu W. księcia nazwał burdą.

Wkrótce po rozpoczęciu kursów Szymański (Napoleon), uczeń wydziału lekarskiego, uwiadomił mnie o egzystencji spisku, mającego na celu oswobodzenie ojczyzny, zapewniając zarazem, że nie tylko większa część oficerów młodszych załogi polskiej w Warszawie, oraz po pułkach na prowincji i szkołach podchorążych piechoty należą do tego związku, ale nawet osoby wyższe, otoczone powszechnem poważaniem narodu, jak n. p. Chłopicki, Niemcewicz, Lelewel i inni;*) że, dla zasłonienia związku od zdrady, podzielono go na małe kółka, które miały komunikować się jedno z drugiem tylko za pośrednictwem jednego z członków swoich silnego charakteru i doświadczonego patrjotyzmu. Jedno z tych kółek już egzystowało w uniwersytecie, a że posiadałem zaufanie niemałej liczby kolegów, Szymański zachęcił mnie do utworzenia drugiego kółka, zalecając wszelakoż jak największą ostrożność w wyborze członków.

Niebawem plan podany mi przez Szymańskiego, został doprowadzonym do skutku i — pod pozorem zabawy koleżeńskiej — zbierała się od czasu do czasu, w mieszkaniu mojem pod „złotym orłem" (naprzeciwko kościoła św. Krzyża), garstka podoficerów i akademików, między innymi: Gancz (Wincenty) i Polański z 1. p. piechoty liniowej, Mazowiecki (Anastazy) z 3. p. strzelców pieszych, Piwowarski (Adam), Mazowiecki (Onufry), Kobyliński (Wincenty), Rzewuski, Rychłowski, Giewartowski, Bacewicz, Sławowski, Kossowski, Wąsowicz i Kruszelnicki. Wszystkie komunikacje i rozkazy wyższej a nieznanej nam władzy spiskowej dochodziły nas za pośrednictwem Szymańskiego, a dopiero w miesiącu październiku poznaliśmy się z członkami niektórymi pierwszego kółka, zbierającego się w mieszkaniu Szwejcera *) (Michała) w pałacu Załuskich.

Podług danego zlecenia zaopatrzyliśmy się, jak kto mógł, w broń palną lub sieczną i czekaliśmy dnia ruchu. Naznaczono nareszcie noc z 13. na 14. października; tego wieczora kółko nasze zebrało się w mojem mieszkaniu i tam czekaliśmy na ostateczny rozkaz, który nam Szymański miał przynieść. Wśród spokojniejszej niż zwykle gawędy wyglądaliśmy niecierpliwie powrotu naszego pośrednika. Już się zbliżało ku północy, kiedy nadszedł i oznajmił nam, że dla ważnych, choć jemu nieznanych powodów — naczelnicy spisku odroczyli wybuch powstania do dalszego czasu. „Szaleni! głowy potracili"; — zawołał Anastazy Mazowiecki — „już i tak szpiegi śledzą nas na każdym kroku, a przez te zwłoki bezustanne sprawa cała niechybnie się wyda, i wyłapią nas jak myszy. Co do mnie — nie myślę zginąć bezowocnie; to też wracam natychmiast do koszar po moją dubeltówkę i z pod filarów Towarzystwa przyjaciół nauk jeszcze tej nocy księciu w łeb strzelę" *)

„Tem właśnie" — zawołałem — mógłbyś zwichnąć całą sprawę; zaklinam cię przeto, mój drogi Anastazy **) abyś ani myślał o podobnym zamiarze. Wszakże dotąd nie masz jeszcze nic straconego; uspokój się i pamiętaj że nie wolno żadnemu z nas działać samopas". Uwaga moja, silnie poparta przez obecnych, uspokoiła Mazowieckiego i w kilka chwil potem wszyscy rozeszli się z postanowieniem czekania dalszych rozporządzeń.

Schadzki w mojem mieszkaniu zwróciły na siebie uwagę jednego z inspektorów uniwersytetu i skłoniły mnie do przeprowadzenia się do ciasnej ciemnej ciupy na Tamce, gdzie, wraz z kilku kolegami, zająłem się laniem kul.

Tymczasem spostrzegliśmy z żalem, że jeden z związkowych naszego kółka, Kruszelnicki,[1]) uczeń drugoletni na wydziale medycyny, oddawał się z coraz większą zapamiętałością szulerstwu i rozpuście. Nie brakowało przestróg i rad z naszej strony, ale zostały bezowocne. Uważałem nawet, że pomimo pozornej wesołości, dręczyła go jakaś niespokojność. Nagle, 7. listopada, znikł nam zupełnie z oczu; ale bez poszukiwania powodów tej nieobecności — przypisaliśmy ją konieczności szukania u rodziców w Modlinie pieniędzy na zaspokojenie długów.

Dnia 11. listopada doszła mnie wieść o aresztowaniu podchorążych Gancza i Polańskiego z 1. p. piech. l. i kilku podoficerów z 3. p. strzelców p. Ostrzegłem o tem bezzwłocznie najbliższych kolegów, a przeczuwając, że policja pochwyciła jakąś nić spisku, zacząłem przemyślać o ucieczce do Prus; ale niepewność co do prawdziwych powodów aresztu naszych przyjaciół wojskowych, a z drugiej strony obawa uwtierdzenia przez moją ucieczkę władzy w domysłach jej — jeżeli tylko na takich odprowadzono braci naszych do więzienia — zatrzymały mnie na miejscu.

Nazajutrz w piątek 12. listopada, około 10. rano wezwano mnie do inspektora jeneralnego uniwersytetu, Adrjana Krzyżanowskiego. Zapytania jego o częstych schadzkach młodzieży akademickiej w mojem mieszkaniu, o ich celu, rozmowach toczonych i t. p. przekonały mnie, że rząd domyślał się egzystencji jakiegoś spisku; ale bynajmniej nie przypuszczałem jeszcze, jak dalece szczegóły jego były mu znane. Po krótkim protokole inspektor oznajmił mi, że muszę tymczasem pozostać pod aresztem uniwersyteckim

---

*) Całe postępowanie Chłopickiego w pierwszych dniach powstania i jego niechęć ku rewolucji dały nam później dowód, że to był tylko sposób wzbudzenia zaufania w nowozaciężnych spiskowych. (P. A.)

*) Po stłumieniu komuny, w nocy z 25. na 26. maja 1871. r. Szwejcer wraz z swym starym towarzyszem Rozwadowskim, pomimo łez i zaręczeń odźwiernego domu pod nr. 52 boulevard Picpus, że to ludzie spokojni, zostali wywleczeni z swej izdebki i rozstrzelani przez rozbestwione żołdactwo. (P. A.).

*) W przewidzeniu rozruchu w. książę Konstanty nakazał największą czujność wojsku. Załodze warszawskiej rozdano ostre ładunki: Moskalom po 60, Polakom po 12. W każdym pułku było w nocy po dwie kompanje gotowych do broni, a na pierwszy alarm każdy oddział wojska miał zająć przeznaczone dla siebie strategiczne stanowisko. Dla dopilnowania zaś ścisłego wykonania wszystkich rozporządzeń powyższych, w. książę, co noc niemal, około godziny 12. sam dojeżdżał raz do tych, drugi do innych koszar. (P.A.)

**) Kiedy w maju 1831 r. przybyłem z korpusu jenerała Dwernickiego do Warszawy, dowiedziałem się, że Anastazy Mazowiecki dnia poprzedniego został przywiezionym do ambulansu w szkole aplikacyjnej. Pospieszyłem bezzwłocznie do niego i znalazłem go w tej samej sali, w której leżał Zenon Niemojewski, okryty ranami w bitwie pod Nową wsią 19. lutego. Mazowiecki choć miał dwie rany: jedną powyżej kostki, a drugą w górnej części uda, był bardzo wesołym. Nazajutrz był bladym jak śmierć i strasznie osłabionym, w skutek obfitego krwiotoku z ostatniej rany. Kula przerwała arterję, a lekarze nie mogąc jej zawiązać, zdecydowali że tylko amputacja przy samym kadłubie może uratować rannego od śmierci. Nie wierząc w pomyślny skutek tej operacji, Mazowiecki, pomimo przedłożeń i próśb z mej strony, nie zezwolił na nią. W kilka dni potem odprowadzono zwłoki jego na Powązki. (P. A.)

[1]) Zdaje mi się, że był rodem z Zamościa i odby nauki szkolne w Szczebrzeszynie. Ojczym jego był lekarzem głównym w Modlinie. (P. A.)

*

i kazał bedelowi zaprowadzić mnie do pokoju blisko kancelarji, zkąd dosłyszałem znane głosy kilku kolegów. Przyniesiono mi objad ze stołu rektorskiego, czy też z traktjerni, a wieczorem koło 6. przywołano mnie do protokółu do sali obrad senatu uniwersyteckiego, gdzie ujrzałem naokoło stołu zacnego rektora ks. Szwejkowskiego, powszechnie kochanego sekretarza uniwersytetu Kazimierza Brodzińskiego, Adrjana Krzyżanowskiego i kilku innych profesorów; prezydownł zaś kurator uniwersytetu Maksymilian Fredro.

Po ogólnych kwestjach, jakie mi już tego samego rana zadał inspektor: czy słyszałem o mającym wybuchnąć rozruchu,**) o przygotowaniach do niego, o celu częstych schadzek w mojem mieszkaniu i t. p. zapytano mnie nagle: dla czego zaprosiłem do siebie kilkunastu kolegów i znajomych na wieczór dnia 13. października? Odrzekłem, że nie pamiętam, czy miałem kogo u siebie tego wieczora; a jeżeli tak było, to pewno zebraliśmy się dla wesołej pogadanki. — „Napróżno się pan taisz — zawołał kurator — wiadomo nam bowiem, że zebraliście się w nadziei jakiegoś zaburzenia, ktore miało nastąpić tej nocy; a pan dla zachęcenia kolegów do udziału, kazałeś przynieść kosz piwa i częstowałeś ich następnie ponczem. Kiedy wam zaś doniesiono, że rozruch został odroczonym, unteroficer (sic) z 3. pułku strzelców pieszych, Anastazy Mazowiecki, uniesiony gniewem i przepowiadając, że zwłoka podobna naraża spiskowych na zgubę, odgrażał się, że tej samej nocy zaczai się z dubeltówką pod filarami domu Towarzystwa przyjaciół nauk i zabije Jego Cesarską Mość W. Księcia Konstantego, w chwili kiedy o północy będzie tamtędy przejeżdżał. Pan zaś zamiast odradzać mu przedsięwzięcia tak zbrodniczego, utwierdzałeś go w tak niegodziwym zamiarze. — Być może — odpowiedziałem, — że w ciągu rozmów rozmaitych, któryś z kolegów moich wspomniał, że podług ostatnich nowin krążących po Warszawie ruch jakiś nastąpi; ale nie zwróciłem na to uwagi, zwłaszcza że podobne wieści głuche dawały się słyszeć codziennie po kawiarniach. Nieraz poczęstowałem kolegów piwem i pączem, ponieważ nie miałem zwyczaju przyjmować gości na sucho; ale jest fałszywem, abym tym sposobem miał ich zagrzewać do udziału w jakiemś urojonem powstaniu. Równie szkaradnym wymysłem jest, aby się Mazowiecki kiedykolwiek odgrażał na życie W. księcia lub kogokolwiek w mej obecności. Nie przypuszczam, aby myśl podobna mogła powstać w jego szlachetnym umyśle. Gdyby się zaś objawiła, to — zamiast go zachęcać do takiej zbrodni niesłychanej — byłbym sobie uważał za święty obowiązek użyć sił wszelkich, aby go odwieść od niej, albo mu przeszkodzić w dokonaniu takowej".

Zadzwonił kurator na bedela i zawołał donośnym głosem: „Przywołaj p. Kruszelnickiego". — Dreszcz mnie przejął na to nazwisko; albowiem wskazało mi zdrajcę i całą przepaść w jaką nas popchnął. Szczęściem, że kaptur lampy cieniem swoim zasłonił wrażenie nader przykre, które myśl ta zrobiła na mnie. W mgnieniu oka wszelakoż samo uczucie niebezpieczeństwa przywróciło mi całą przytomność. Kiedy więc wszedł Kruszelnicki, wymokły i blady jakby trup i kazano mu usiąść naprzeciwko mnie, wlepiłem w niego wzrok tak surowy, że znieść go nie mógł. „Czy pan byłeś wieczór 13. października u pana Bartkowskiego?" — „Byłem". — „Czy Bartkowski był przytomny, kiedy podoficer Mazowiecki odgrażał się, że przyczai się tej samej nocy pod filarsmi gmachu Towarzystwa Przyjaciół nauk w celu zabicia Jego C. M. W. Ks. Konstantego?" — Tu Kruszelnicki zwrócił drgającą twarz ku mnie, a spotkawszy wzrok pełen oburzenia i pogardy, drżącym głosem jęknął: „Nie-e-e — nie wiem, czy był wtenczas obecnym; ale zdaje mi się". — „Cóż to się znaczy?" — zawołał gniewnie ks. Szwejkowski — „w raporcie swoim utrzymujesz pan, że Bartkowski utwierdzał podoficera Mazowieckiego w zbrodniczym zamiarze; a teraz nie pamiętasz nawet, czy był przytomnym tej pogróżce. Któż tu może wierzyć panu? Idź pan na ustęp" *). Pod tym gniewnym wykrzyknikiem zacnego rektora poznałem ukontentowanie nad zachwianą wiarogodnością delatora a odblask tegoż samego uczucia przeleciał także po twarzy Brodzińskiego, który pogrążony w smutku i milczeniu przysłuchiwał się powyższej indagacji.

Po kilku innych mniej ważnych zapytaniach kurator poprosił mnie do pobocznego pokoju i tam — wziąwszy za rękę, z czułością ojcowską zaklinał mnie, abym mu zeznał całą prawdę, szczególnie co do osób, z któremi miewaliśmy komunikacje; że on sam uważa całą tę sprawę jako dziecińswo, i że — jeżeli zeznaniem otwartem odpowiem na jego zaufanie — otrzyma niezawodnie na audjencji, na którą miał się udać tegoż wieczora do w. księcia, upoważnienie do wypuszczenia nas natychmiast na wolność. Odpowiedziałem, że nieraz zdarzyło mi się słyszeć, nie tylko między kolegami, ale nawet po kawiarniach, przypuszczenia o możebności rozruchu jakiegoś w Warszawie, ponieważ rozdanie ładunków ostrych między załogę i inne środki ostrożności władzy wojskowej naprowadzały na domysł, że rząd musi mieć ważne do tego powody; zresztą, że nie miałem w Warszawie ani znajomości ani komunikacji z żadnemi osobami, prócz kilku kolegów uniwersyteckich, i ich braci lub krewnych będących w wojsku; że schadzki nasze ograniczały się na obojętniej rozmowie albo na wesołej zabawie, a nie miały bynajmniej celu politycznego, jaki mi fałszywie podrzucano.

Opuścił mnie kurator nie bardzo zadowolony, a w kilka chwil potem turkot odjeżdżającego powozu kazał mi się domyślać, że udał się do Belwederu, inni zaś członkowie komisji czekali jego powrotu, niektórzy może w nadziei, że przywiezie rozkaz uwolnienia dla oskarżonej młodzieży. Co do mnie, nie spodziewałem się aby nas wypuszczono; tak się też i stało. Może około 10. nadjechał powóz; ale zamiast mnie uwolnić, bedel Głowacki z zasmuconą twarzą wezwał mnie abym mu towarzyszył do jednej z sal prelekcyjnych i tam mnie zamknął na noc. Znużony wrażeniami tego dnia, a po części też w zaufaniu, że koledzy wraz ze mną przyaresztowani ograniczą się przy indagacji na naturalnem wytłómaczeniu naszych schadzek i odeprą wszystkie inne do nich powody jako zmyślone, zasnąłem spokojnie.

Nazajutrz wezwany powtórnie do sali obrad zastałem tam prócz kuratora, rektora, sekretarza, i inspektora, trzech jenerałów: Różnieckiego, Rautenstraucha i Potockiego (Stanisława). Powtórzono mi też same pytania, co dnia poprzedniego, a ja dałem też same odpowiedzi. Nie przywołano wszelakoż Kruszelnickiego na konfrontacją.

Wieczorem przeprowadzono mnie do sali, gdzie profesor Bętkowski wykładał historją i tam znalazłem własny materac, poduszkę i kołdrę. Tam mnie zostawiono przez cały dzień następny, a że to była niedziela — nie miałem nawet rozrywki widzieć przechodzących akademików. Miałem więc czas zastanowić się nad najwłaściwszym planem odparcia wszelkich oskarżeń i w konkluzji uznałem za najlepszy ten, który mi prosty rozum nastręczył od pierwszej chwili aresztowania, t. j. odpierać stanowczo wszelkie oskarżenia o należenie do jakiegokolwiek spisku i obstawać zarazem przy tem, że pogadanki nasze o prawdopodobnym zozruchu były tylko echem powszechnie krążących domysłów, wywołanych przez środki ostrożności władz wojskrwych.

Dnia 15. listopada, w poniedziałek wieczór, przeprowadzono mnie z gmachu uniwersyteckiego do klasztoru św. Krzyża i tam mnie w jednej z cel zamknięto. Po stąpaniu na korytarzach i skrzypieniu kluczy domyślałem się, że przeprowadzono zarazem i innych kolegów moich. Przekonałem się później, że domysł mój był prawdziwym. Byliśmy wszelako tak porozdzielani, że nie mogliśmy się komunikować między sobą, ani też szukałem sposobności do tego, z obawy zdradzenia się. Usługiwała nam jeszcze służba uniwersytecka, tylko, ile razy zdarzyło mi się — przy wejściu bedela — okiem rzucić na kurytarz, spostrzegłem jakiego draba, z odrażającem piętnem policyjnego siepacza. Podobnegoż psubrata upatrzyłem czatującego w bramie, albo też przy drzwiach klasztoru.

Tak mnie zostawiono przez tydzień, bez wezwania do protokołu. Nie cierpiałem nudów, ponieważ dostarczono mi, zdaje się z księgozbioru rektora, kilku książek. W poniedziałek 22-go listopada wieczór, właśnie kiedy po zgaszeniu świecy rozmyślałem nad przeczytanym co tylko wierszem Krasickiego: „Święta miłości kochanej Ojczyzny", zaskrzypiał klucz we drzwiach i wszedł do celi komisarz policji z latarką, a za nim olbrzymi drab policyjny. Wezwał mnie abym mu towarzyszył, a na zapytanie: „dokąd"? odrzekł, że tego nie może powiedzieć. Nim się ubrałem, policjant zwinął pościel i poniósł ją na dół. Przed bramą klasztorną stała zamknięta dorożka, do której wsiadł zemną komisarz z policjantem, a drugi z pościelą usiadł obok woźnicy. Powietrze było mgliste, ulice zdawały mi się puste i nadzwyczaj ponure. Zrazu nie wiedziałem, dokąd mię wiozą, ale skoro dorożka zwróciła przez plac bankowy na Leszno, wątpliwość wszelka ustała. Zatrzymaliśmy się przed Karmelitami, gdzie na znak dany otworzyła się furtka i wprowadzono mnie do obszernej sieni, służącej za odwach. Tu mnie komisarz przedstawił komendantowi więzienia, kapitanowi kwatermistrzo-

**) Z widocznem staraniem unikano wyrazów «powstanie» i «rewolucja». (P. A.)

*) Cała postać zdrajcy, jego głos drżący i wahanie się w czasie tej konfrontacji, przekonały mnie, że Kruszelnicki nie był jeszcze wprawnym zatwardziałym szpiegiem. Nie pojmuję wszelakoż, dla czego zdradzając kolegów oskarżył mnie nadto kłamliwie, jakobym zachęcał Mazowieckiego do zabicia W. księcia. Może być, że zachował do mnie żal osobisty, z powodu wyrzutów, które mu zrobiłem nad zapamiętałością, z jaką się oddawał szulerstwu (P. A.)

stwa Niewodowskiemu, a sam z grzecznością — zdawało się — urągliwą, pożegnał się ze mną. Kapitan Niewodowski przyjął mnie bardzo uprzejmie, kazał pościel zanieść na drugie piętro pod nr. 25 *) i sam mnie tam, w asystencji odźwiernego, odprowadził *). Żądał, abym złożył na jego ręce pieniądze, oraz nóż i scyzoryk, jeżeli jaki mam przy sobie, i opuścił mnie, poleciwszy dozorcy, aby wrócił po świecę, skoro się rozbiorę.

Położyłem się też niebawem i zostawiony w ciemności rozmyślałem nad położeniem mojem. Przesunęły mi się przed wyobraźnią znane mi tylko z opowiadania postacie ks. Dębka i innych wiernych synów Polski, którzy w tych murach męczeństwem stwierdzili swą miłość ojczyzny. Ich przykład dodał mi odwagi do zniesienia cierpień, jakiekolwiekby mnie czekały. Lecz kiedy myślą zwróciłem pod strzechę ojczystą, łzy mi się z oczu puściły na samo wyobrażenie żalu i rozpaczy drogiej matki, skoro ją dojdzie wiadomość o uwięzieniu mojem.

Wśród rozmyślania tego usłyszałem kilkakrotnie stąpanie po korytarzu. Zwożono widocznie innych więźniów, ale żadnego nie osadzono w celi pobocznej. Później się przekonałem, że istotnie, dla zapobieżenia wszelkiej komunikacji, poprzedzielano nas — o ile to było możebnem — pustemi celami.

Nazajutrz, zaledwie wstałem, odwiedził mnie oficer od warty, zapytał mnie o zdrowie i rzuciwszy okiem naokoło, zostawił mnie z posługaczem, który mi przyniósł kawę i zaczął napalać w piecu; ale dym tak gęstymi kłębami wkrótce przepełnił celę, że pobiegł do kapitana Niewodowskiego i za jego pozwoleniem wypuścił mnie na korytarz, gdzie musiałem stać na jednem miejscu, dopóki przeciąg nie rozpędził owego dymu. Dla bezpieczeństwa wszelakoż stawiono obok mnie dodatkowego szyldwacha (choć już było po jednym na każdym korytarzu). Widać w ostatniej celi była także jakaś niedogodność, ponieważ z korytarza ujrzałem stojącego na progu drzwi otwartych kolegę mego, Michała Szwejcera. *) Natychmiast wszelakoż kazano mu się cofnąć.

Zostawiono mnie w tej celi przez dwa dni; że zaś, w czasie zapalania w dymiącym się piecu, musiano mnie wypuszczać przynajmniej na godzinę, przeprowadzono mnie w czwartek (25.) rano do celi pobocznej. W piątek zaś, około 11tej, kapitan Niewodowski zaprowadził mnie do sali indagacyjnej na pierwszem piętrze, gdzie mi kazano siąść przy końcu stołu, przy którym siedzieli jenerałowie: Rożniecki, Rautenstrauch i Potocki (Stanisław), kurator uniwersytetu Maksymilian Fredro i inspektor jeneralny Adrjan Krzyżanowski, inkwirent śledczy i jego pisarz.

Snać dla formalnego zadosyśuczynienia przywilejowi uniwersyteckiemu — w rozpoznaniu zarzutów czynionych akademikom — przyzwano i tu jeszcze, jako świadków legalnej procedury, dwóch wyżej wymienionych dygnitarzy wszechnicy warszawskiej, szanowanych jako ludzi zdatnych a nawet dobrych Polaków. Ani jeden ani drugi nie brał udziału w tej indagacji, lecz tylko przysłuchiwał jej się w milczeniu i — jak mi się zdawało — pogrążony w smutnych myślach.

Wezwany przez przewodniczącego w tej komisji Rożnieckiego, abym dyktował pisarzowi inkwirenta, cokolwiek mi wiadomo o spisku, mającym na celu zaburzenie publicznej spokojności, odrzekłem, że nie mając żadnej wiadomości o podobnym spisku, nie mogę zadosyć uczynić podobnemu żądaniu, lecz gotów jestem odpowiedzieć na wszelkie pytania, któreby mi chciano przedłożyć. Zgodzono się na to i rozpoczęto indagacją, w ten sam sposób, jak dnia 13. listopada, tylko z większymi szczegółami i przeskakując nagle do pytań, na pozór obojętnych o rozmowach potocznych akademików, w celu widocznym zamącenia mi głowy. Odpowiedzi moje były też same, co na dwóch poprzednich indagacjach.

Z pomiędzy członków komisji jeden tylko Rautenstrauch czynny brał udział w tem śledztwie, i uważnie podsuwał inkwirentowi coraz nowe pytania. Rożniecki zaś bawił się przez cały czas laską laku, którą rozgrzewając w ręku, przeginał w różne kształty. Zresztą siedział z zamrożonemi oczyma, jak stary kot, i tylko dwa czy trzy razy przebąknął kilka wyrazów. Między innemi zapytano mnie, co mówiono między młodzieżą o usposobieniu Litwy i Wołynia na przypadek jakiego rozruchu. — „Nie słyszałem żadnych rozmów o Zabranym kraju.“ — „Cóż to pan rozumiesz przez Zabrany kraj?“ — zawołał pół gniewnie, pół z zadziwieniem gorliwy służalec Rautenstrauch. — „Zapewne odpadłe prowincje“, odpowiedział za mnie Rożniecki i z tą poprawką kazał protokoliście zapisać moją odpowiedź. — Przeczytano mi w końcu protokół i kazano mi go podpisać. — W dobrej wierze podpisałem; dopiero później przyszło mi na myśl, że ów pisarz pewnie był członkiem policji i z polecenia wyższego może przeczytał wcale co innego, od tego, co napisał.

Na odgłos dzwonka prezesowego wszedł kapitan Niewodowski i odprowadził mnie, grzecznie wziąwszy pod rękę (pewnie z obawy, abym mu z pierwszego piętra nie wyskoczył na ulicę) do mej celi. — Nim mnie opuścił, przypomniałem mu daną mi poprzednio obietnicę i prosiłem o jakąkolwiek książkę do czytania. Zapewnił mnie, że nie zapomni o tem; przecież skłamał, ponieważ w sam dzień rewolucji, zrana, kiedy posługacz, proszony przezemnie o przypomnienie kapitanowi danego przyrzeczenia, mówił mu o tem na korytarzu, blisko mej celi, dosłyszałem przez drzwi: „Mniejsza o to, że żąda książek, nie zważaj na to; a jeżeli się będzie napierał, to mu daj starą książkę do nabożeństwa, która jest w moim pokoju.“ — Nie ujrzałem też żadnej książki. Dopiero wieczorem tegoż dnia, kiedy ów porucznik w mundurze strzeleckim, zdając służbę drugiemu oficerowi od weteranów, wstąpił z nim do mej celi, spostrzegłem w ręku jego broszurkę cienką i prosiłem, aby mi ją zostawił na ten wieczór. Zrazu się wahał, lecz kiedy go zapewniłem, że kapitan Niewodowski przyrzekł dostarczyć mi co do czytania, dał mi ową broszurkę. Była to rozprawka (może 16 stronnic) przez Biernackiego, o sposobie stawiania mieszkań włościańskich, z dachem wewnętrznie i zewnętrznie zabezpieczonym od pożaru. Zaiste nigdy nie czytałem dzieła z większem zajęciem, jak ową rozprawkę o architekturze wiejskiej. Przeczytałem ją w przeciągu godziny trzy razy i byłbym ją może jeszcze kilka razy więcej przeczytał, gdyby się nie dopaliła nędzna smarkatka groszowa, którą mi co wieczór na oświetlenie mej celi przynoszono.

Pogrążony w ciemności dumałem nad sposobami polepszenia bytu poczciwego ludu wiejskiego i nad szlachetnemi w tym celu usiłowaniami Staszyca i kilku innych — niestety, zbyt mało licznych obywateli — które tak mało znalazły naśladowców, kiedy nagle uderzony zostałem nadzwyczajnym turkotem dorożek czy pojazdów, pędzących przez Leszno, i spostrzegłem zarazem jasne światło na niebie. Zerwałem się i ubrawszy się co tchu, wlazłem na stolik, przygwożdżony pod oknem, aby odkryć powód tej łuny. Na próżno się siliłem; w przeklętej drewnianej zasłonie za oknem nie było najmniejszej szpary. „Boże wielki!“ westchnąłem, „gdyby to było hasło do powstania!“ — W tej nadziei postałem jeszcze kilka chwil na stole, z wlepionemi w niebo oczyma; ale że łuna *) zdawała mi się nieco zmniejszać — choć jeszcze dochodził mnie z oddalenia odgłos jakiegoś huku — pomyślałem, że to pewno tylko pożar przypadkowy i z żalem wróciłem do łóżka. Zaledwie atoli poleżałem jaki kwadrans, aż tu nagle huk nierównie silniejszy daje się słyszeć z przeciwnej strony więzienia. Były to strzały padające ze strony warty więziennej i ze strony ludu dobijającego się do Karmelitów; ale w zakrętach zabudowań klasztornych tak dziwnie się odbijały, jak gdyby taranem w mury bito. W mgnieniu oka stanąłem znów ubrany na nogach, a serce mi biło jak obuchem. „Pewnie pożar wybuchnął w samym klasztorze“, pomyślałem sobie, „i kto wie, czy nas nie chcą zagrzebać w gruzach tego pogorzeliska.“ — Szarpnąłem więc za dzwonek, a kiedy nadbiegł posługacz, zażądałem, aby mi natychmiast drzwi otworzył. — „Nie wolno, panie!“ — „Zkądże ten straszny huk?“ — „To pożar w mieście.“

---

*) W tej samej celi siedział w 1825 r. oficer od saperów Sabiński. Podług powszechnej wieści został tam struty i w ostatniej chwili konania przestrzegł innych więźniów o przyczynie śmierci. (P. A.)

*) Przy samem wejściu do więzienia był w sieni obszerny odwach, a dalej rozmaite półciemne i wilgotne dziury, gdzie po rewolucji 29. listopada znaleziono w jednej z nich powrozy przedzierżgnięte przez belkę. Ponieważ to nie była stajnia ani suszarnia, domyślano się, że to było miejsce tortur tajnych, a może nawet egzekucyj. Prawda co do tych domysłów nie została nigdy wyświeconą, o ile mi wiadomo, ponieważ komisja, wyznaczona do przejrzenia papierów policji tajnej, idąc za przykładem, a może nawet z natchnienia zbyt łagodnych władz rządu tymczasowego, mitrężyła długo, zamiast oddać wszystkich szpiegów i siepaczy moskiewskiego ucisku pod sąd doraźny — a nawet nie pociągnęła kapitana Niewodowskiego i jego pomocników do zeznania faktów, które dokonane zostały w więzieniu karmelickiem od roku 1825 do 1830. — Na pierwszem piętrze gmachu korytarz jeden był zajęty przez cele więzienne, a drugi, tworzący kąt prosty z pierwszym, prowadził do sali indagacyjnej i mieszkania komendanta. Drugie zaś piętro było całkiem przeznaczone dla więźniów. Warta, składająca się z plutonu piechoty, zmieniała się co wieczór, ale komendę nad nią mieli na przemian dwaj oficerowie z poniżonego policyjaej służby batalionu weteranów czynnych, z których jeden z twarzą trędowatą i dość otyłą musiał być pijakiem, drugi nieco wyższy i wejrzenia oraz obyczaju przyjemniejszego, widocznie dopiero co został przeniesionym do weteranów, albowiem nosił jeszcze mundur pułku strzeleckiego. (P. A.)

*) Szwejcer zajmował celę, w której — jak nam powiedziano później — więziono 1825 r. ks. Dębka, Karmelitę, i gdzie go może zamordowano, choć policja rozpuściła wieść, że ks. Dębek, w chwili kiedy go golono, wyrwał golarzowi brzytwę z ręki i w mgnieniu oka przerznął sobie gardło. (P. A.)

*) Był to pożar domu, który w pierwszej chwili powstania usiłowano podpalić na Nalewkach. (P. A.)

To odrzekłszy, pobiegł do innych drzwi, ponieważ równocześnie ze wszystkich cel odzywały się dzwonki. Nie odstępując już od drzwi, przyłożyłem ucho do nich i dosłyszałem, że ściągnięto szyldwachów z drugiego piętra. Niezawodnie, pomyślałem sobie, albo pożar straszny już ogarnia więzienie, albo też jest powstanie i zacząłem bić pięścią w mur pobocznej celi, pytając donośnym głosem sąsiada, co to wszystko znaczy. „Nie wiem“ — odezwał się znany mi głos Juljana Łabęckiego, a w tej samej chwili z hukiem, jakby wystrzału armatniego, usłyszałem grzmiący okrzyk: „Niech żyje Polska! Bracia Polacy! — wolni jesteście!“... i masa ludu, jak powódź, z szybkością błyskawicy rozlała się po obszernem więzieniu. Na odgłos „Niech żyje Polska!“ wyciąłem pięścią na odlew tak silnie w drzwi, że wierzchnia szyba drewniana, w której była kratka zasuwana z blachy przedziurawionej, prysnęła jak szkło. Odwróciłem się na krok, aby i dolną część nogą wybić, ale w tejże samej chwili ktoś kolbą czy drągiem całe drzwi wywalił... Pióro niezdolne opisać uczuć moich w owej błogiej chwili. W tych kilku sekundach, kiedy nas biednych więźniów z uniesieniem ściskali koledzy i rzemieślnicy warszawscy, więcej doznałem szczęścia, aniżeli w całym ciągu życia mojego.........

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

(Ciąg dalszy.)

Bo jakżeż potężnie odtworzył Rubens różne uczucia radośne w obrazach Zmartwychwstania! jak tu przeniknął ludzką duszę. W galerji Siks w Amsterdamie jest jeden z jego najlepszych obrazów, w którym się Chrystus zmartwychwstały jawi Marji Magdalenie. Nigdzie na świecie nie znajdziesz bardziej boskiego wykonania, nigdzie nie masz uroczystszego spokoju i klasyczniejszej miary. Półnagi przecudny Chrystus, któregoby pozazdrościł Michał Anioł, stanął wśród ogrodu przed Magdaleną. Rozwarł ramiona, po ojcowsku, po bratersku może raczej, i pokazuje rany swoje — a Marja Magdalena klęka przed nim, nad wyraz piękna, pełna zadziwienia i niewysłowionej radości. Słychać, jak on do niej mówi: ojciec mój i wasz ojciec.

A znów w Antwerpii w muzeum śledzisz z zajęciem różne różnych apostołów wyrazy. Tu postacie tylko do połowy widziane, i przedziwny tors Chrystusów prawie całkiem obnażony. Na twarzy boskiej widzisz wszechmoc i pokój. „Patrzcie się i wierzcie.“ Oto, co się zdaje mówić do apostołów. A apostołowie patrzą się i wierzyć muszą. Ale tu dopiero będziesz podziwiał prawdziwą myśl malarza. Jan, młodzieniec, uwierzył odrazu, i chyli się nad ręką, i raną w ręku z rozkoszą spełnionej nadziei i dokonanego szczęścia. Piotr mąż, wierzy, bo wierzyć musi, ale przecie boi się szalbierstwa, i wpatrzył się bystrym wzrokiem w oczy Chrystusowe; Tomasz, starzec siwy, nie wierzy jeszcze; krytycznie, bezwstydnie, nielitośnie bada ranę, i tyka się jej. Wreszcie uwierzy, ale nie wpierw, zanim się nie dotknie.

Już potem nie masz scen ziemskich, są tylko niebiańskie sceny tryumfu. Już potem nie masz dramaturgi Rubensa, a jaśnieje malarz tylko niezrównany. Chrystus w katedrze wzlatuje do nieba jako tryumfator, przepyszny, muszkularny, boski, spokojny. A w kościele świętego Jakóba nad grobem malarza zoczysz niezrównane arcydzieło, o którem jednak nie wiesz, czy je malował Rubens, czy Włoch jaki. Madona siedzi na tronie z dzieciątkiem, dwie święte młode i święta Anna cieszą się niem, święty Jozafat całuje nóżki swego wnuka, święty Jerzy z chorągwią w ręku, w połyskującym pancerzu rozdeptuje smoka, a stary i nagi Hieronim siadł u dołu. Panuje tu słodycz, piękno i boski pokój, jak u Rafaela, tylko barwy jakieś bardziej syte. To glorja, co jaśnieje poza czasem i przestrzenią.

Chciałem zrazu jeszcze drugi dramat Rubensowski, śmierć Decjusza Musa opisać. Ale miejsca na to nie stanie. Radzę przeto tę serję obrazów oglądać. Wszak do Wiednia nie zbyt daleko, i nieraz nie jednemu przyjdzie tamtędy przejeżdżać. Niechże sobie przypomni Decjuszową historję, i niech pójdzie do galerji Liechtenstein, przeczytawszy albo Liwiusza, albo zresztą moje: „Powieści Wschodu i Zachodu“, i niech ogląda te obrazy, mając w pamięci to, cośmy powyżej o Rubensie powiedzieli. Zobaczy i dramatyczną siłę, i zbyteczne prawie, zaraźliwe że tak powiem zdrowie i siłę i znajomość duszy ludzkiej, i archeologiczną wierność, i czasem zbytek ruchu, i bezwzględność rażącą wymagania klasycznej estetyki.

Zresztą, poza Antwerpią spotkasz się częściej z wadami, jak z zaletami Rubensa. Technika świetna, ale kompozycja albo myśli pozbawiona, albo miary, oto stan wielu obrazów, malowanych na obstalunek przez zbyt płodnego mistrza. Tylko portreta są zawsze piękne, choć i one malowane na prędce, bez charakterystyki osobistej; ale wszyscy ludzie na tych konterfektach pełni szlachetnego zdrowia i wesela.

Aby czytelnikowi dać wskazówkę, wymienimy wśód mnóstwa dziwactw obrazy rozrzucone po Europie, na które powinien się patrzyć; są to: W belwederze wiedeńskim: Matka Boska z królem hiszpańskim Filipem, obraz ciepły i prawidłowy; cztery części świata, klasyczne prawie dzieło, pełne spokoju i plastyki; dramatyczna scena między świętym Ambrożym i Teodozjuszem wielkim; wreszcie kolosalne dziwactwa pełne monstrualności przedstawiające, jako to: św. Dominik wypędzał czartów, i jako to św. Franciszek Ksawery w Indjach cudownie chorych leczył i umarłych wskrzeszał. Na obrazie tych ostatnich króluje kolosalna, konwulsyjna szkarada, w której siła ciała, pozbawionego duszy, straszliwszą przeto, że przy niej widać demonów takich, jakie się śnią Flamandom po zbyt dobrej wieczerzy. Ale wśród dziwactw dnieje czasem i myśl psychologiczna. Wreszcie portret żony Rubensa na wszelką zasługuje uwagę.

W galerji Liechtenstein jest drugi portret żony, Antoniusz i Kleopatra, i wreszcie portret synów, powtórzony w Dreźnie. W Monachjum polowanie na lwy, przecudny wianuszek dzieci nagich z wiankiem i Chrystus z uczniami w Emaus; w Berlinie drugie polowanie na lwy; w Hadze Adam i Ewa i Wenera z Adonisem, w Luwrze domy z kitką i trzej królowie; w Londynie Rubens z żoną, a we Florencji w Uffici czterej filozofowie. A teraz niech nam będzie wolno przejść do uczniów Rubensa.

A będziemy mówić tylko o czterech, z których dwaj stanowią tylko jakby jedną osobistość artystyczną. Tymi czterma wybranymi są: Van Dyk, Jordaens i obaj Teniersi.

Van Dyk dobierał te same przedmioty, co Rubens, choć był głównie portrecistą. Nakładał barwę podług tej samej metody, i równie plastycznie, ale nie lubował się w czerwieni karnacji i w owem nieludzkiem zdrowiu Rubensa; i owszem jego cechą dystynkcja, nie idąca nigdy w parze ze zdrowiem zupełnem. Rubens malował boskich ludzi, a Van Dyk tworzył wielkich panów.

Spojrzyj raczej tu w muzeum w Antwerpii na owego Chrystusa na krzyżu, białego, wątłego prawie, a pięknego. To już nie Bóg, to człowiek. Cierpi, cierpi bardzo, niewymownie; ale jakżeż umie pięknie z pańska znieść cierpienie. Jak nie raczy się skrzywić, jak jęknąć ledwo raczy. Ciało jego lśni na szarem tle spokojnie, choć boleśnie. Tak powinien Chrystus konać podług ideału hiszpańskich grandów.

Albo naprzeciw owa pietà, co arcydziełem Van Dyka. Najpierw barwy dobrane harmonijnie, ale z pańska. Przeważa szarość i białość wychuchana ciał, i tylko wielka fioletowa i czerwona chmura na prawo, dodaje obrazowi uroczego nastroju, i dowodzi, że Van Dyk znał wartość barwy. Ona to czyni obraz dziwnie muzykalnym.

Ciało Chrystusa mlecznej białości leży spokojnie i rytmicznie. Śmierć i tu piękna podobnie, jak na zdjęciu z krzyża Rubensowskiem. Madonna rozwarła nad ciałem ramiona, siedząc przy niem, i oczy wzniosła do nieba. Piękna, ale nie młoda w piękności swojej, piękna tak, jak bywają czasem wątłe a nie spracowane niewiasty, co na dworach, lub w wielkim świecie życie swoje spędziły. Ruchy jej w miarę ujęte. Nawet jęk, co jej się z piersi wyrywa, musi być muzykalnym. Tak nauczyła się władać ruchami, tak przywykła wszystko czynić estetycznie. A z obłoku różowego wychyla się cudny, nagi aniołek, szesnastoletni panicz, o trefionych włosach; ręce załamuje, szlocha w głos, lecz wszystko to z widzianą już gdzieindziej na ziemi gracją. Paź to przecudny, wśród cudownego obłoku zapłakany nad ciałem pana swego.

A dystynkcja ta Van Dykowska występuje najwyraźniej w portretach, i tu jest najbardziej na swojem miejscu. Są w Belwederze dwaj panicze w czarnych aksamitnych strojach z wyłożonemi kołnierzami. Twarze ich piękne a blade, dziecinne jeszcze. Duże oczy zadumane patrzą na ciebie, małe wychuchane rączki zwisły od niechcenia. Pracy nie znali, już umieją się liczyć z ruchami, już marzą o rycerskiej miłości, o wielkich, świetnych dworach i sławnych czynach. Lepiejby było na świecie gdyby wszyscy panicze takimi byli.

Ale w galerji Liechtenstein można oglądać człowieka co już wielkie czyny dopełnił. Mówię o księciu Friedland, o sławnym Walensteinie, co w czarnym jedwabnym hiszpańskim stroju stanął przed tobą sparłszy rękę o rękojeść szpady. Żylasta, młoda jeszcze głowa wychodzi z białego kołnierza, a po małej ręce znać jakąś nerwową wolę. Człowiek to niepospolity strudzony myślą. Ale mimo to nie znać tu i pracy służe-

bnej i przymusu. Nie dba ci ten człowiek o to, że na niego patrzą, nie myśli o widzach, o formach i ukłonach, o ciasnych, drobnych troskach życia. Jakby w poemacie żyje, zna tylko ludzi wielkich i wielkie wypadki — od samej kołyski. I nie masz na ziemi tego, z którymby się Walenstein nie zmierzył— a że życie jemu ciągłem dziejowem świętem, nie ma dlań osobnych dni świątecznych. Lubi bitwy wygrywać, tworzyć i burzyć królestwa, ale nie dziwi się, gdy mu się to uda. Wszak to w porządku rzeczy. Więc Van Dyk idealizował pańskość czyniąc z niej jakiś drugi Olimp ale wcale inny, ale pijany jakiś i szalony — i zwierzęcy. Nie o państwach i wiarach myślą jego ludzie, i nie to w nich dziwne, że się czują równi każdemu — to nadludzkie, że się niczego nie wstydzą.

Zdrowie Rubensa skradł Jordaens, choć go już nie umiał tak malować jak mistrz. Chwilowe żarty mistrza powtórzył, ale powtarzał je wiecznie i do przesytu. Chciał śmiechu tylko i śmiał się nad miarę.

Kto chodził choćby trochę tylko po galerjach, ten zna wszystkie prawie obrazy Jordaensa, bo wszystkie dwa tylko przedmioty powtarzają: „Król pijany“ i „Sylen pijany.“ Sylen, to Sylen prawdziwy, mitologiczny, tłusty, rudy, stary, podparty przez dwu Satyrów, zataczający się, otoczony przez nagie Flamandzkie Bachantki, nieprzyzwoity i zdrożny. Ciało drga i tętni, wstyd znikł, wzrok się pali — oto Jordaensa wchód Sylena.

Ale król pijany, to tylko król karciany Flamandzkiej kiermessy, chłop tłusty w papierowej koronie, co pije jeszcze, choć po twarzy widać, że już dawno pić nie powinien. Policzki i nos krwią mu zabiegły, oczy niestałe błądzą; przy nim królowa pierś nieboską obnażyła — mężczyźni na wszystkie najnieprzyzwoitsze sposoby pozbywają się jadła i napoju, pijane kobiety ronią mleko dzieciom przeznaczone, ciało przeszło winne granice, zerwało wędzidła i tarza się po płótnie. Bujne Flamandzkie ciało żądało tego malowidła, duszę ono razi.

A Teniersy obaj? Czy tu naprawdę o nich mówić wypada? Czy nielepiej powiedzieć tylko, że ci Flamandzi malowali i czuli po holendersku, gdy malowali hultai w czerwonych kurteczkach i konie i stajenki i czasem taniec chłopski. Zapewne czuli tak jak Brower i Van Ostade, o których wnet mówić będziemy — ale pędzel wzięli od Rubensa i podobnie jak Jordaens cieszyli oko pełnią sytej barwy. W tem ich jedyna zasługa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAPONJA

przez

K. SKAŁKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

III.

Wystawa w Kijoto, jako ogólna dla całego kraju, była bez porównania więcej zajmującą od nagasakskiej. Amatorowie rzeczy osobliwszych mieliby tu z czego postradać zmysły, tyle na niej było oryginalnych wyrobów krajowych z papieru, jedwabiu, szylkretu, drzewa lakiem pociągniętego, stali, kości słoniowej i różnobarwnych kamieni. W osobnym oddziale zebrane były przepyszne starożytne rzeczy, pochodzące z gabinetu Mikada; można też było widzieć i starożytny rydwan, w którym dawniejsi mikadowie odbywali podróż w razie wielkiej potrzeby, kryjąc za firankami gęstemi świętą swą osobę przed wzrokiem poddanych. Oddział wyrobów wykonanych przez Japończyków, ale już na sposób europejski, zadziwia również swoim ogromem. Znajdziesz w nim wszystko począwszy od przyrządów astronomicznych, a skończywszy na kolekcji rzeczy pedagogicznych. Japończycy odznaczają się zdumiewającą zdolnością przyswajania sobie różnych sposobów rzemieślniczych używanych w krajach obcych. Nie ulega jednak wątpliwości, że niebawem wyjdzie im to na złe; wkrótce gorżko zapłaczą, że chciało się im nieostrożnie zabawić w produkcję na wielką skalę. Nie mówiąc już nic o powstającym proletarjacie, którego dawniej nie znali, o rodzącem się feudalizmie mieszczańskim, o mnóstwie chorób przedtem nieznanych — zgubny ten popęd do naśladowania fabryk europejskich, przyczyni się przedewszystkiem do upadku smaku. Już i dzisiaj daje się to widzieć; proszę naprzykład porównać dawne wyroby japońskie w guście czysto narodowym z dzisiejszemi na sposób europejski. Co za różnica! Tam wykwintność, wdzięk oryginalności, tu zaś bezmyślne małpiarstwo płodzi same monstrualne i niesmaczne rzeczy.

Wystawa, jak powiedziałem, mieści się w dawnym zamku szogunów. Zamek ten jest niczem więcej, jak zbiorem odrębnych pawilonów w śród ślicznego parku. Czem są właściwie japońskie zamki i pałace, najlepiej sądzić o tem można z pałacu Hoszo, rezydencji dawnych cesarzów, z której prawie nigdy nie wyglądali na świat boży, jako usunięci od spraw wszelkich przez swoich szogunów. Ktoby myślał że Hoszo jest czemś w rodzaju Wersalu, ten mocno się myli. Jest to nie Wersal, lecz raczej szereg kupieckich składów zbożowych, napotykanych nad brzegami rzek spławnych. Pałac Hoszo stoi wśród równiny i zajmuje ogromny plac okolony na zewnątrz wałem ziemnym i rowem, a wewnątrz mający mniejszych rozmiarów ogrodzenie z drzewa. Przestrzeń pomiędzy obu temi ogrodzeniami jest zupełnie pusta i trawą zarośnięta.

Gdyby nie ta pusta pomiędzy niemi, neutralna, że tak powiem przestrzeń, nigdy takie mnóstwo drzew, otaczających pałacowe budynki, nie byłyby wstanie tak pięknie się rozróść w kraju, gdzie pożary należą do codziennych wypadków. Nie znającemu Japonji nie sposób nawet wyobrazić sobie do jakich rozmiarów dochodzą tam pożary.

— Mieliśmy dziś maleńki pożar — powiada Japończyk — zgorzało trzysta domów.

Tak znaczna ilość nie powinna zresztą zdumiewać nikogo, kto pamięta czem są domy w Japonji, jakie są ich zwykłe rozmiary i jak tanio kosztują. Dopiero gdy za jednym razem spłonie 10.000 domów, Japończyk uważa to za wielki pożar. Częste pożary są powodem, że każdy dom japoński ma pod sobą niewielką piwnicę, sklep z materjałów niepalnych, do którego chowają wszystkie droższe rzeczy, a zresztą nie ma tak bardzo czego i chować, bo cennych sprzętów u Japończyka zwykle bardzo niewiele. Z powodu spustoszeń, zrządzanych przez ogień w rozmiarach niewidzianych gdzieindziej, japońskie towarzystwa asekuracyjne każą sobie płacić wkładki dziesięć razy większe od praktykowanych w Europie.

Prześliczne są wrota parkanu otaczającego pałac Mikady; są one snycerskiej roboty, rzeźby nadzwyczaj delikatnej, wyzłacane i nabijane miedzią nader misternie. Większa część drzwi w zabudowaniach pałacowych jest również podobnej roboty. Dachy na wrotach i zabudowaniach, wydają się zdaleka jakby ze strzechy słomiannej; dopiero przypatrzywszy się bliżej, spostrzedz można, iż nie są ze słomy, lecz składają się z nadzwyczaj cienkich deseczek, jedna na drugiej szczelnie leżących, przez co dach przedstawia równą i prawie zupełnie gładką powierzchnię.

Wewnątrz pałac niczem się nie różni od zwykłych „jaszki“ t. j. rezydencji feodałów japońskich, bardzo licznych w kraju a szczególnie w Tokijo. Podobne są one do domów zamożnych obywateli w Polsce i Rosji. Pałac mikadów składa się z szeregu parterowych zabudowań z wysokiemi dachami, podtrzymywanymi przez drewniane kolumny. Wszystkie w nich pokoje mają wychód na niewielkie czyściutkie dziedzińce, zasłane ubitym pięknym piaskiem. Pokoje przedzielone są papierowemi ścianami o ślicznych malowanych obiciach, przedstawiających ptaki, drzewa i rośliny z tak rzadką dokładnością, że patrząc na nie, człowiek się łudzi, iż patrzy na żywe. Źle powiedziałem „malowanych“ obiciach; bo właściwiee nie jest to malowidło, lecz raczej mozajka, w której kamyczki zastąpione są włóknem, z którego robią się maty i malutkiemi kawałeczkami drewienek lakiem pociągniętych, przez co barwy ciągle zachowują świeżość i jaskrawość. Sala tronowa, stosunkowo wcale nie wielka, nie przedstawia nic szczególnego. Co do apartamentów kobiecych, to dekoracje w nich są zupełnie takie same co w apartamentach cesarskich, t. j. takie same parawany, takie same lakierowane i inne ozdoby. Ogród pałacowy przytyka do apartamentów kobiecych.

Ogrodnictwo u Japończyków stoi wyżej nad wszelkie pochwały. Bynajmniej nie przesadzę, gdy powiem, że na przestrzeni literalnie nie większej jak duży stolik do pisania, potrafi Japończyk urządzić ogród ze strumykami, gajami, mostkami i klombami kwiatów. Ale wszystko to jeszcze dla niego za mało! Prześwidrowawszy misternie kilka dziur w niewielkim kamieniu, potrafi on dokazać sztuki, że z jednego i tegoż samego niewielkiego kamienia wyrasta kilka rozmaitych roślin, przyczem i to nie zawadzi dodać, że zasadzając lasy i gaje mistrzem jest w doborze barw liści, tak samo jak przy urządzaniu klombów kwiatowych, przez co pierwsze nigdzie nie są tak piękne jak w jego ojczyznie. Cesarski ogród zamkowy, w tymże samym stylu, wcale nie wielki, lecz upiększony ze zbytkiem takiemi sposobami, o jakich w Europie nie mają pojęcia. Uliczki wązkie, ażeby zaś w czasie dżdżystym spacerując nie zawalać obuwia, położono na nich spore głazy nie stykające się z sobą, po których spacer dla nieprzyzwyczajonego nie jest rzeczą łatwą, a tem samem przyjemną.

Najbardziej zajmującemi są świątynie japońskie. Kijoto posiada ich sporo; Większa ich część powstała ze szczodrobliwości monarszej. Główniejsze świątynie są bardzo dawne; budowa ich sięga wieku XII. Lecz zanim przystąpię do opisanie świątyń, należy wprzód dać wyobrażenie czem jest religja japońska, co wcale

nie jest tak łatwem. Szyntoickie, t. j. narodowe wyznanie Japończyków, tak się zmięszało z budaizmem począwszy od VIgo wieku, że nader trudną jest rzeczą powiedzieć, szczególnie dla cudzoziemca, na czem pierwsze zależy. Już tylko niewielka część mieszkańców wyznaje pierwotną religję i to w formach popsutych, co zaś się tyczy budaizmu, to ten również dzieli się na mnogie sekty.

Wyznanie „szynto", podobne do politeizmu dawnego, polega na ubóstwianiu słońca i innych potęg natury, w połączeniu ze strachem wzbudzanym przez objawy onych. Z postępem czasu potęgi te, podobnie jak w mitologji klasycznej, wcieliły się w wyobraźni ludowej w postacie duchów: „kami", tak samo, jak to się działo w pierwotnej religji Chińczyków. Jako wyznanie, szynto odznacza się wielką prostotą: nie zna żadnych tajemnic, żadnych sakramentów, żadnych ubóstwiań i ofiar; wszystko się w niem redukuje do ludowych zabaw i świąt w dni pewne, poświęcone pamięci tego lub owego „kami". Nie mając katechizmu, wiara szynto nie ma też określonego kodeksu moralności. Ślepe posłuszeństwo cesarzowi i wiara w święte pochodzenie jego, stanowią jednakże rodzaj dogmatu wyznania szyntoickiego.

To ostatnie tłumaczy nam dla czego mikadowie zawsze protegowali wyznanie szynto, a nawet aż do ostatnich czasów starali się je podtrzymać z uszczerbkiem buddaizmu, gdy przeciwnie szogunowie zwykle ten ostatni protegowali. Walka ta trwa dotąd i za rządem idą jego słudzy. W Kijoto naprzykład, pewien generał jeszcze niedawno wybudował przepyszną świątynię Nisi-Otań, pomimo że i dawniejszych jest jeszcze mnóstwo. Połowa z nich już się wali.

Szyntońskie świątynie, zwane „mija", z pozoru wyglądające tak jak budyjskie, różnią się tylko od nich większą wewnątrz prostotą. W Kijoto jest ich bardzo wiele. Wszystkie co do jednej drewniane z dachami z deseczek gładko ostruganych. Wchód do świątyń stanowią wrota, składające się z dwóch do siebie pochylonych granitowych słupów z wygiętemi poprzecznicami. Z powodu, iż świątynie budowane są zwykle na pochyłości gór, prowadzą do nich duże granitowe schody gładkiej roboty; podmurowanie świątyń także jest z granitu; a u wrót świątyni wisi gong, w który bębnią dla zwrócenia uwagi bóstwa; wnętrze, do którego nikogo nie puszczają jest zupełnie puste; na ołtarzu stoi zwierciadło, a na bambusowych pałeczkach wiszą strzępki papieru — „goche" — jako symbol czystości. Służby kościelnej nigdy prawie nie widać, bo nie ma zwyczaju pilnować swych świątyń, które, jak już powiedziałem, są raczej miejscami spaceru i zabawy, aniżeli modlitwy. Modlitwami Japończycy nie bardzo się męczą, a wyznawcy budaizmu czynią tak samo, bo u tych ostatnich tylko kapłani się modlą. Japończyk lub Japonka (kobiety i tutaj są bardziej religijne niż mężczyźni) pociągnąwszy za sznurek od dzwonka, składa ręce do modliwy tak samo jak i my chrześcianie, następnie klaszcze w dłonie, przykłada je do czoła i oto już cała modlitwa. Dodać chyba do niej należy, że ten i ów rzuci jaki pieniążek wprost na podłogę lub do ogromnej skarbonki, znajdującej się w każdej świątyni.

Heine niegdyś nazwał był katolicyzm najbardziej orzeźwiającą religją: chciałbym też wiedzieć, coby był powiedział ujrzawszy w Kijoto świątynię Kiju Mizu? Prowadzi do niej ścieżka wśród gąszczu drzew. Po drodze spotykasz cmentarze, z nagrobkami jak u nas, z kwiatami na mogiłach. Widok z ganku świątyni, tonącej wśród mnóstwa kwiatów i drzew przecudny: wprost widzi się Osakę, na lewo ogromną w skałach rozpadlinę, z której źródło wytryska, a u stóp Kijoto. Dla większego efektu, galerja na palach, otoczoną jest różnokolorowemi szybami, mnóstwo ptasząt szczebiocze wśród najpiękniejszych krzewów; kobiet i dzieci liczba nie mniej wielka — słowem istny raj ziemski! Nie dziw, że lud prosty mile wspomina założyciela świątyni, który zbudował dla niego tak śliczne, bezpłatne miejsce zabaw i rozrywek.

Budaizm dostał się do Japonji z Chin. Lud z początku sprzeciwiał się wprowadzeniu tej religji, lecz z czasem stała się ona prawie powszechną w całym kraju. Nie potrzebuję wdawać się w opisywanie treści nauki buddyjskiej, z której Schoppenhauer i Hartman stworzyli swoją filozofię. Budaizm jest, jak wiadomo religją rozpaczy. Niełatwo zrozumieć jak podobne wyznanie mogło się przyjąć wśród narodu takiego jak japoński, charakterystyczną cechą, którego jest niezastanawianie się nad jutrem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, w czasie zaprowadzania budaizmu, pierwotna religja narodowa straciła już była swój urok w Japonji o tyle, że już nie mogła skutecznie stawić czoła budaizmowi, który się zjawił z całą gotową hierarchią dobrze urządzoną, z gotowym kodeksem pojęć moralnych, a nareszcie i z ceremonjałem świetnym.

Już nie ja pierwszy z podróżnych uderzony byłem dziwnem podobieństwem ceremoniału buddyjskiego z ceremonjałem katolickim. Też same co u katolików ołtarze z posągami świętych, a dalej kamienne kropielnice z wodą święconą, księża z głową ogoloną po środku, w celibacie żyjący, ubranie sług kościelnych, różańce, sposób składania rąk w czasie modlitwy lub nabożeństwa i t. d., wszystko to jest prawie zupełnie takie same u katolików i u wyznawców budaizmu. Według statystyki urzędowej budaizm liczy w Japonji 75.000 księży i 35.000 osób stanu duchownego, ale niższej klasy. Żyją oni z dobrowolnych ofiar i z cmentarzów. Budaiści są więcej dbali od wyznawców „szynto" w wyborze miejsca dla swych świątyń, zwanych „tera", przyczem i architektura ich jest o wiele wspanialszą, pomimo że tak samo jak szyntoickie stawiane są z drzewa; dekoracja wewnątrz jest również wspanialszą od świątyń szyntońskich; budaiści kochają się w posągach bożków, w mnóstwie światła i kadzideł. Dziedzińce ich świątyń są również upiększone różnemi odlewami z bronzu. W Nagasaki naprzykład, widziałem w świątyni Osuwa pięknego bronzowego konia naturalnej wielkości; z wyjątkiem mordy nieco chybionej, odlew to znakomity.

Świątynie buddyjskie w Kijoto, jedna od drugiej piękniejsze. Świątynia Sandżio Sanherdo mieści w sobie aż 30,000 bałwanów, przedstawiających wszystkich świętych buddyjskich, ustawionych na piętrzących się jedna po nad drugą ławkach, jakby na stopniach schodów. Cały dach tej olbrzymiej świątyni pokryty sterczącemi strzałami; to Japończycy, wracając z wojny tak z łuków strzelali. Dotąd jeszcze podwórze tej świątyni służy za strzelnicę, w której młodzież szlachecką całemi dniami ćwiczyli w strzelaniu z arbaletów. Mieszczące się w świątyni bałwany nie są zbyt wielkie, ale na dziedzińcach i w pobliżu świątyń można się spotkać z bałwanami kolosalnych rozmiarów, tylko już nie z bronzu, ale z drzewa pozłacanego; podobne bałwany nazywają się „daj-butey". Przedstawiają one zwykle Buddę, siedzącego z podłożonemi pod siebie nogami i patrzącego na koniec swojego nosa. W Kijoto sławną jest olbrzymia głowa Buddy z pozłacanego drzewa, a obok niej stoi niemniej kolosalnych rozmiarów dzwon, około 2½ metra wysokości z takimże otworem. Nigdy nie dzwonią ani też biją pałkami w ten dzwon, lecz potarcie oń nosa, powiadają, pomaga w chorobach skóry.

Obie powyższe religje, z ich niezliczonemi sektami, wyznawane są jedynie przez lud prosty, wyższe albowiem warstwy społeczne, nie wyznają prawie żadnej religji, bo wyznawana przez nich oficjalnie „sijuto", t. j. religja Konfucjusza, nie może w ścisłem znaczeniu nazywać się religją. Nauka Konfucjusza jest tylko zbiorem bardzo pięknych praw moralności, nauczających, że każdy powinien być cnotliwym, grzecznym, sprawiedliwym, mieć czyste sumienie i dobrze się obchodzić z swoimi podwładnymi. Co jest dziwnem, to to, że właśnie nauka Konfucjusza w Japonji tak samo jak i w Chinach stała się wielce popularną pomiędzy urzędnikami! Jakkolwiekbądź, dość, że w Japonji nie ma żadnej religji państwowej, przez co i skarb nie ponosi żadnych wydatków na utrzymanie duchowieństwa. W ogóle rząd japoński patrzy dość obojętnie na wszelkie propagandy, nie wyłączając wyznań chrześcjańskich.

Zwiedziwszy co było godnego widzenia w Kijoto, jadąc z powrotem do Kobe, wstąpiłem do Osaki. Z powodu mnóstwa kanałów, przerzynających miasto, Osakę nazywają japońską Wenecją. Samych mostów liczą nie mniej jak 3500. Osaka jest punktem zbiorowym bardzo rozległego handlu. Powiadają, że kolej żelazna przyczyniła się znacznie do zmniejszenia handlu, pomimo to jednak jest to miasto nader ożywione. Ono to właśnie słynie z wyrobów bronzowych, do których materjału dostarczają poblizkie kopalnie miedzi. Wyroby jedwabne i gorzelane cieszą się również wielkim rozwojem. Do licznych fabryk prywatnych, dzisiejszy rząd japoński dodał olbrzymią mennicę, której postawienie, jak mówią, kosztowało około dwanaście miljonów franków. Oglądałem ją i znalazłem wszędzie wielki zbytek; nawet kwas siarczany, nawet cegłę wyrabia na swoje potrzeby. Jednego tylko w niej brak — to jest nędznego metalu! Wystawiono mennicę — a tymczasem, wskutek niefortunnego handlowego bilansu, wywieziono z Japonji wszystek prawie kruszec, a z zagranicy prawie nic nie powraca. Mennica stoi też prawie pustkami i nic nie robi; kiedy niekiedy tylko odbije niewielką ilość monet, lub załatwi kilka innych zamówień rządowych, i na tem koniec. Jest ona jednym z przykładów, co kosztują zachcianki reformatorskie japońskich postępowców: wydano pieniędzy huk — a w rezultacie otrzymano zero! Wstydzą się Japończycy, że mennica ich próżnuje, a w kraju znikła moneta, i pewien dziennik wystąpił już z propozycją zabrania do mennicy wszystkich drogich sprzętów z całego kraju, czyli innemi słowy, zaproponował przebić na pieniądze wszystkie skarby

wykwintnej japońskiej sztuki, stanowiącej dumę kraju! I w Rosji, o ile pamiętam, znalazł się był taki, co na rzecz długu państwowego radził rządowi, zabrać wszystkie łyżki srebrne. Widać z tego, że cokolwiek mówi Pascal, głupota ludzka jest wszędzie jednakową, pod wszelkiemi szerokościami naszej kuli ziemskiej.

Dobrze żem wspomniał o dziennikach. Mówiłem już przedtem, że wychodzi ich w Japonji niesłychane mnóstwo. Są one wszystkie niewielkiego formatu i drukowane hieroglifami; lecz, że większa część świeżo przez rząd wymyślonych hieroglifów dla oznaczenia terminów i pojęć państwowych i międzynarodowych, jest dla ludu niezrozumiałą, to redakcje zmuszone są dodawać w nawiasach znaczenie ich pismem pospolitem. Porządek artykułów jest taki sam co i w dziennikach europejskich: artykuł wstępny, sprawy zagraniczne, kronika, felieton, inseraty — z tą tylko różnicą, że należy czytać na sposób japoński, t. j. nie od lewej strony ku prawej, jak u nas, lecz z góry na dół każdy wiersz oddzielnie. Bardzo wiele pism ilustrowanych z wcale niezłemi rysunkami, zamieszcza chętnie karykatury na władze administracyjne, nieraz wielce nieobyczajne i brudne, bo Japończyk lubi rzeczy pieprzne. Karykatura oddawna znaną jest i kwitła w Japonji; stworzyło ją wesołe usposobienie narodu. Redakcje dzienników mieszczą się w malutkich, jak zwykle, domkach o ścianach papierowych: współpracownicy, zecery, maszyna i litografja zbite na kupę w jednym i tym samym pokoiku.

Prasa cieszy się dość znaczną wolnością; ton jej, ostry. Cenzury nie ma, ale rząd zaprowadził już coś w rodzaju cenzury; w roku 1875 wydał rozporządzenie, ażeby na przyszłość nie wydawano dzienników, nie uzyskawszy wprzód na to pozwolenia od rządu, i ażeby każdy numer zaopatrzony był podpisem redaktora odpowiedzialnego, przyczem nie zapomniał po europejsku i o ustanowieniu kar za obrazę rządu i religji; najwyższą karą za zwykłe prasowe usterki jest trzechletnie więzienie. Gdy jednak autor w artykule swoim podburza do buntu przeciw rządowi, to sądzony bywa jako przewódzca spisku itd. Słowem, prasowy japoński kodeks karny jest, jak widzimy, staranną kopją dobrze nam wszystkim znanego kodeksu francuskiego z czasów Napoleona III.

Zwiedzałem także nową wspaniałą świątynię Teima Chendżyn, wystawioną w rynku, w której oglądałem rozmaite zwierzęta ofiarowane przez pobożnych świątyni, a utrzymywane kosztem dobrodziejów niemniej pobożnych. Następnie nie zaniedbałem też zwiedzić i wystawy osackiej. Nie szczególna, ale zasługuje na uwagę z tego powodu, że została pomieszczoną w jednej z największych świątyni Mido. Praktyczny ten użytek zrobiony z świątyni, dozwala wnosić, że Japończycy dojdą wkrótce do tego, do czego doszli już Amerykanie, wynajmujący kościoły swe na koncerta i publiczne wieczorki tańcujące dla niewiast i mężczyzn, szukających łatwych znajomości.

Najciekawszą rzeczą w Osace jest starożytny zamek, czyli „diro“ jak go zwą Japończycy, wznoszący się po drugiej stronie rzeki Jodohawe, naprzeciw mennicy, który jeszcze nie tak dawno był rezydencją szogunów. Sam pałac Szoguna wprawdzie zgorzał przy zdobyciu zamku w roku 1868 przez stronników Mikady, lecz zamek, wewnątrz którego stał pałac, wyszedł bez szwanku, i nie dziw, bo trzeba chyba dynamitu do zniszczenia podobnie cyklopowej budowli. Jest to formalna forteca, której mury wyprowadzone zostały z ogromnych brył gnejsowego kamienia, otoczona dokoła głębokim rowem. Długość tych brył wynosi prawie 6 metrów, a grubość muru także równa się sześciu metrom. Mury wznoszą się *en spirail*, a do tego przecięte są poprzecznemi ścianami, w których przebite są wrota; a że przytem droga do cytadeli — znajdującej się, również jak spalony pałac szogunów, wewnątrzza mku prowadzi ciągle pod górę, nic więc dziwnego, że ci ostatni przez tyle wieków mogli nieraz drwić z władzy zwierzchników swych mikadów; jedynie artylerja współczesna byłaby w stanie dać radę podobnej rezydencji. Na czterech rogach zamku wznoszą się cztery baszty; widok z nich na wszystkie strony przecudny.

Siro obecnie obrócone zostały na koszary jazdy. Kawalerja japońska nieliczna; składa się tylko z 3 pułków i słusznie, bo do czegoż przydać się ona może w państwie otoczonem morzem, a do tego poprzerzynanem najrozmaitszemi przeszkodami. Konie w tych trzech pułkach dość dobre, pochodzą z prowincji Satuema. Byłem obecny przy mustrze. Jazda jak jazda, fizjonomie dość pocieszne, krój mundurów zakrawa na francuski a na wyłogach i wypustkach przeważa kolor żółty. Taż sama barwa przeważa i u piechoty; podczas mego pobytu w Japonji, z powodu upałów, żołnierz był ubrany w mundurkach z białego płótna, ale na wartę zawsze występował w sztyfletach i przy tornistrze. Należy dodać, że w Siro jest bardzo dużo wojskowych a to z powodu, że Osaka jest stolicą jednego z sześciu okręgów, na które dzieli się cesarstwo pod względym wojskowym. Obok zamku znajduje się rządowa fabryka broni palnej, dalej koszary i więzienie, jak się zdaje, przeznaczone tylko dla wojskowych.

Armja japońska, oprócz wspomnianej jazdy, liczy: 42 pułków piechoty, 18 baterji artylerji, 10 kompanji saperów, 6 rot kompanji pociągowych, i 9 kompanji artylerji morskiej — w ogóle 30,440 ludzi na stopie pokojowej a 46,050 na stopie wojennej. Pułki piechoty, tak jak angielskie, mają tylko po jednym batalionie. Oprócz tego istnieje jeszcze i gwardja cesarska; nie liczna; zaledwie 3,328 głów. Koszta utrzymania wojska wynoszą rocznie przeszło 56 milionów franków. Musztra i taktyka na sposób francuski, regulamin francuski, instruktorowie Francuzi. Obecnie zresztą rząd jak może stara się pozbyć cudzoziemców, albowiem szkoła wojenna, nieodrodna kopia Saint Cyr'skiej nafabrykowała mnóstwo młodych oficerów krajowców. Powinność wojskowa dotyka wszystkie stany zarówno — co się równa prawie rewolucji w kraju takim jak Japonja, gdzie warstwy społeczne aż do niedawnych czasów żyły życiem kastowem. Japończyk jest niesłychanie zdolnym na żołnierza. Ale jednocześnie, o ile zauważałem, Japończycy przyswoili też sobie ducha biurokratycznego, uśmiercającego wszystko bez wyjątku. Oto dowód:

Gdym po obejrzeniu zamku galopował moją dżynrykczą, dopędza mnie co koń wyskoczy ułan z wywieszonym językiem i podaje jakieś trzy piśmidła, od góry do dołu pokryte hieroglifami. Było to pozwolenie na zwiedzenie zamku. Podczas gdy je sporządzano w trzech różnych kancelarjach, a następnie posyłano do potwierdzenia do oficera dyżurnego, do placmajora i do komendanta zamku, ja nie tylko, że zdążyłem cały zamek zwiedzić, ale i pożegnać się i odjechać spokojnie. Podobne bezsensowe psucie papieru bez żadnej potrzeby, jest niezłą ilustracją porządków, na gwałt zaprowadzanych przez stronnictwo tak zwane postępowe, któremu się udało dostać do steru. Szczęście jeszcze wielkie, że przynajmniej papier w Japonji jest tani...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Urywek z kaszubskiego poematu ludowego*)

p. t.

O PANU CZORLIŃŚCIM

co do Pucka po sece jachoł

przez

Jarosza Derdowskiego

VIII.

Czorlińsci wewroco ze żedami w Kobesowie.

Ciejsme z lasa sę nareszce w pole wedostale,
Tej żedzeska so z redosce piesnią zaspiewale:
— Gajde dromtes! drydre, drala! — jak żedowšci taniec.
Ale jo żem wjedno szeptoł pocerz i rożaniec:
Bo uwożoł żem so w głowie: — Czarce jech tam wiedzą,
Może chaje co tam bluźnią, albo z wiare szedzą.
I wzerołem wjedno przed sę na gore wesocie,
Chtorne tam sę rzędem wznoszą prawie pod obłocie.
Za gorami, ponad strugą, widac pałac z wieżą,
A do koła piękne łącie i ogrode leżą.
Ale droga jakos wolno nama szła bez gore,
Wszędze same le kamninie, porowe i dure.
Konie wnet sę srodze zgrzałe, bom mnioł dychtych forę,
A wej żede nie chcą złazec, choc jidze pod gorę;
Ale skorno z gore nadoł sanie sę slizgają,
To żedzeska sę ze strachu pułkoszkow trzymają,
Zaczynają wnet ze sani nadoł zeskakiwac,
A jo muszę coroz dlą niech konie zatrzymywac.
Jaż sę wreszce mnie sprzykrzeło tak sę z nimi włoczec:
— Muszę — rzekem — waju kąseczk rozumu nauczec! —
Więc ciej znowu szkapska w gorę cygną z cały sełe,
Prosztę żedow, be z pułkoszkow wszeście pozłazełe. —
A to beło we wse, co se zowie Kobesewo,
Tam gdze w prawo leży pałac, a nen brańtuz w lewo. —
Ciej nie chcałe żede słuchac, tej na jech zgrezotę,
Wjachoł żem na kupę smniecy, be jim spłatać psotę.
Sanie na bok sę schylają, przewrocają w biegu,
I buch! leżą moje żede wszeście razem w smniegu.
Powstoł taci krzyk i jamrot, jakbe w lazarece,
Jeden prysko bez drudziego, jak ciej rebe w sece!
Ale Bartek z Brus, co w tele sedzol so na mniechu,
Zacząn z góre w doł sę kulac, że beło do smniechu,
Tak sę bjedok kuloł, kuloł, jak ciej knope z grzępe,
Jaż nareszce wpod do studni, prosto w samą szlępę! *) —

*) Czytelnikom znaną jest główna treść tego poematu z zamieszczonej w przeszłym numerze Tygodnia oceny. Ponieważ jest on (jako ludowy) rzeczywiście piękny i niezwyczajny, więc podajemy tu z niego kilka rozdziałów. Chcieliśmy wyjątki te dać w przeniesieniu polskiem — lecz wiersz straciłby właściwą barwę; a że narzecze kaszubskie jest dla każdego Polaka najzupełniej zrozumiałem — więc przytaczamy wyjątki w oryginale, po kaszubsku.

Urywek, który podajemy stanowi epizod — gdy p. Czorliński wynająwszy się za furmana żydom, wiezie ich, wywraca i. t. d. i to wszystko opisuje w liście do żony. (P. R.)

*) Szlępę = wywar.

IX.

Bartka wecygają ze studni i sczeszczają.

Bartek krzeknąn: — Waj mir! rety! — że sę zlękłe konie;
Beł żem pewny, że żedzesko w studni ny utonie.
W jedny chwile jo i żede belisme prze dole,
Gdze so Bartek plewoł w szlępie, jak mucha w rosole. —
Szczescem szlępa beła zemno, więc sę nie poparzeł,
Bo nen brańtuz bodej downo gorzołci nie warzeł.
Co tu robic? Drąga nie ma, żebe go wecygnąc,
A tu ręką nie podobno bjedoka dosygnąc.
Zamniast żedze jemu pomódz, o retunku radzec;
Zaczynają wszescy na mnie po żedowsku wadzec;
Le skokają koło dure, szarpią sę za włose,
A jech kamrot czu! o pomoc woło w niebogłose.
Ju nie mogem więcy scerpiec jego jamrotanio,
Więc tej żeda Lajzra chwytąm za łeb bez pytanio
I trzymając go za włose, spuszcząm do ny studni,
A on kopie się nieborok, że to jeno dudni.
Ciejm go tak ju głębok spusceł, że sygoł wilgoce,
Tej go chweceł kamrot Bartek za but z cały moce.
Ale ledwjem tero bjedok nie wpod sąm do dołu,
Bo poczęno mnie tak cężec, jakbem dwigoł wołu.
Jednak, ciejm jech obu naroz sąm wecygnąc nie mog,
Jacis naloz sę pomodzier, co mnie kąsk dopomog;
Ciejsma więc sę tero w dwujkę do robotę wzęna,
Tejsma w kuńcu obu żedów na wiechrz wecygnęna.
Lajzerkowi nic nie beło, bo ten beł u gore,
Ale Bartek, co beł na dnie, zmoczoł sę do skore.
Z włosów, brode i rękowow cekła jemu szlępa,
Taci chaja beł szczapany, jak ciej w chlewie klępa.
Ale znoł sę doch na rzecze i mnie podzękowoł,
Żem go z tacim poświęceniem od smnierce retowoł.
Tej jo jemu na to rzekem: — Bartek! Te mosz serce,
Więc też szkoda, be te ostoł żedem jaż do smnierce;
A żebesma cę ze studni nie beła wewlekła,
Bełbes, jako człek niekrzcony, dostoł sę do piekła.
Więc pamniętej, dej sę okrzcec i żyj z Bodziem w zgodze,
Więcy bratku, jo od cebie, nie żądam w nogrodze. —
Chcoł mnie na to odpdwiedzec, lecz beł w wieldzi bjedze,
Bo ju gwołtem go odemnie odpychale żedze.
Cy zawlekle go do strudzi, abe go oczescec,
Tam go mele i kąpale, że jaż zacząn wrzeszczec;
A ciej dobrze go wytarle po caluścim cele,
Tej go znowu na pułkoszcie na mnieche wsadzele.

X.

Nawrocenie żedow.

Wnet ju znowu wszetko beło na saniach w porządku,
Wsześci tak se powsodale, jak beło z początku.
Więc żem prędko ruszeł ze wse z mojemi mośkami —
Wnet ju beło Kobesewo, Bog wie gdze, za nami.
Jeże znowu gdze pod gorę konie sę zbliżałe,
To ju żede bez proszenio ze sani skokałe;
A ciejm potym zjeżdżoł na doł, choc tam szło jak z dachu,
To sedzałe sztel na saniach i nie mniałe strachu.
Tak nauczeł sę rozumu nen szachrajści ludek,
Skorno pdznoł, że Czorlińsci to nie żoden dudek.
Ciej so znowu zaspiewałe, to le decht cechutko,
A pytałe, cze pozwoląm, barzo pokorniutko.
Jeno Lajzer, com go użeł w studni do retunku,
Wjedno mruczoł cos pod nosem, jakbe we frasąnku.
Bartek trząs sę le od zeme i zębuma zgrzytoł,
Ale tero nicht o niego więcy sę nie pytoł.
Jo le czasem: — Boże odpusc! — szeptoł so po cechu,
Bo sę jednak za mój fidziel kąsk żem bojoł grzechu.
Tak żem jachoł coroz dali po strępanym torze,
Kole połnia żem poposoł w jedny karczmnie w borze.
Wszetko jakoś szło mnie dobrze, jeno roz o mało,
Żem mech żedow nie pokoroł, a to tak sę stało:
Ciej uzdrzołem na smińtorzu piękną bożą mękę,
Zaro więc, jak dobry Polok, bjerzę czopkę w rękę.
Ale one zatwardzałe żedowście pogane,
Razu głową nie ciwnęne i czopkow nie zdjęne.
Jaż mnie wstyd beł, nieboroka, tacie bedło wozec,
Więc żem do niech sę obroceł i jim począn grozec:
— Chceta zaro sa na mniescu wa pochwolec Boga?
Bo nie, to jo wąm na skorze sprobuję batoga!
Widzę doch, że nic nie skurąm samym jeno peściem,
Więc zaczynąm wsześciech z gore okłodac bicześciem!
Ciej widzałe, że nie żarte, tej sę żede zlękłe,
Zaro więc odkrełe głowe i na saniach klękłe. —
To beł tryjąf, moja białko, chwoła naszy wiare! *)
Szpos ten doch je więcy wortny, jak sztere talare!
Żedow, co na słowa święte zawde bełe głuche,
Jo bicześciem w krotci sposób dostołem do skruche
Odtąd tak sę ukorzełe wieldzie ne mądrale,
Że przed kożdym świętym kżyżem nisko sę kłąniale.
Wreszce pierszy dzień podroży zbliżoł sę do kuńca,
A na niebie le kąseczek widac beło słuńca.
Ale tam wej za gorami wies sę rozposcero,
Co z nij wesok nad chałupe koscoł so wezero.
— Czujta, kupce! — rzekem tero do mojego ludu —
— W ony wse, co tam je w dole, dzys wepoczniem z trudu.
Może żesta o ni dotąd wiele jesz nie czule,
A to wies je noznaczniejszo z całe zemści kule.
Wieta, że ji słowa sygo pod niebieście brąme,
A me ją — le pamniętejta! — Strzepczem nezewąme.
Ona zawde dlo całego krejsu będze wzorem,
Bo szołtesow sen ze Strzepcza ostoł profesorem;
Znowu jinszy, ciej beł knopem, gęse pas nad strugą,
Dzys je — zdjimta czopcie żede! — ksędzem, bościm sługą!
Tej sę prędko moje żede za czopcie złapałe
I nym słownym strzepścim ludząm ukłon swuj oddałe.
Wnet belisme w Strzepczu w karczmnie, konie żarły w stani,
A me spale so na sztreji; nocleg tam beł tani.
Reno żesme też rzetelnie wszetko zapłacele,
A o swice dali w drogę wesoło ruszele.

ŚLUB

PRZEZ TELEFON

OPOWIADANIE HUMORYSTYCZNE

MARKA TWAINA

I.

Dzień był mroźny zimowy. Miasto Istport w stanie Maine leżało pogrzebane pod głęboką warstwą śniegu, który spadł świeżo. Zwykły hałas uliczny ucichł. Pusto było i głucho, jak w grobie. Trotuary, otoczone z obu stron wysokiemi ścianami śniegu, wyglądały jak długie rowy. Od czasu do czasu słychać było zdaleka skrzyp drewnianej łopaty, i każdy dążący szybkim krokiem, mógł dostrzedz w jednym z tych rowów jakąś czarną postać. Był to robotnik, który próbował zgartywać śnieg, ale po kilku minutach rzucał łopatę i oddalał się do domu, uderzając ręką o rękę. Zimno było tak przenikliwe, że nawet robotnicy zgartujący śnieg, nie mogli zostawać dłuższy czas na dworze.

Później niebo zachmurzyło się, zerwał się silny wiatr, a energiczne jego podmuchy roznosiły na wszystkie strony obłoki śniegowej zawiei. Jeden taki powiew zagradzał ulicę śniegowym pagórkiem na kształt mogiły, — drugi, kręcąc rozhukanym wichrem, rozmiatał ten wzgórek, a trzeci — zmiatał wszystko i zostawiał przestrzeń jakby dłoń gładką. Była to dzika zabawa; jednak głównym obowiązkiem wichru było zasypywanie trotuarów śniegiem, a to ostatnie spełniał on jak najsumienniej.

Alonzo Fitz-Clarens siedział w swym ładniutkim, zacisznym, niewielkim gabinecie; miał na sobie prześliczny niebieski jedwabny szlafrok z pąsowemi misternie wyszytemi wyłogami. Na kominie palił się wesoły ogień, a na stole stały przybory wykwintnie przyrządzonego śniadania. Wszystko razem tworzyło obrazek pełen gracji i harmonji.

Wtem zatrzęsły się szyby w oknach od strasznego podmuchu wiatru, i fala śniegu uderzyła o drewnianą ramę.

— To znaczy, dzisiaj siedź w domu. — odezwał się piękny młodzieniec.

— Bardzo rad jestem, ale do kogo by tu przemówić choć słowo? Mama i ciocia Zuzanna — przyjemne towarzystwo, ale zawsze mogę z niego korzystać, a w taki dzień ponury i nudny, koniecznie trzeba się czemś nowem zainteresować dla rozrywki: trzeba mieć jaki nowy przedmiot zajęcia.

Spojrzał na ładniutki francuski zegarek z brązu, stojący na kominku.

— Znowu się spóźnił. Nigdy nie wie o godzinie obecnej. Alfredzie! Odpowiedzi nie było.

— Alfredzie!... Dobry to sługa, ale taki niepunktualny jak i zegarek. — Alonzo trącił palcem guziczek dzwonka elektrycznego, zaczekał chwilę, znowu zadzwonił jeszcze mocniej i wyrzekł nareszcie:

— Dobrze, baterja w nieładzie. Ale żeby tam nie wiem co, dowiem się która godzina.

Zbliżył się do tuby, zaświstał pierwej, a potem wymówił dwa razy:

— Mamo!

Nie było odpowiedzi.

— Pewno także u mamy baterja się popsuła. Widzę, że nic się nie dowiem od domowych.

Usiadł przy stoliku z różanego drzewa, i przyłożywszy twarz do lewej jego strony, rzekł, jakby zwracając się do podłogi:

— Ciotko Zuzanno!

Cichy lecz przyjemny głos odpowiedział:

— Czy to ty, Alonzo?

— Tak. Nie mogę zejść na dolne piętro, a nikt nie przybywa mi na pomoc. Jestem w bardzo przykrem położeniu.

— Co ci jest? Przestraszasz mię.

— Ja sam się boję.

— Mów prędzej. Nie męcz mię.

— Nie wiem która godzina.

— Szkaradny chłopcze! Wieczne żarty. I nic więcej?

— Nic a nic, słowo honoru. Proszę się uspokoić, proszę mi powiedzieć, która godzina i przyjąć moje błogosławieństwo.

— Pięć minut na dziesiątą. Nie po-

---

*) Bjałka = kobieta,

trzebuję twojego błogosławieństwa. Powiem bezpłatnie.

— Szkoda, bo moje błogosławieństwo nic nie kosztuje. Dziękuję cioci.

Wstał i spojrzawszy na zegarek powiedział:

— Dziś jeszcze niezgorzej się prowadzi. Spóźnił się tylko o 34 minuty. W San-Francisko jest pięć minut na dziesiątą... to znaczy... Ano porachuję: 31 a 23 będzie 54, cztery razy 54 czyni 236; odciągnąć jeden, zostaje 235. A no to tak.

Przesunął wskazówki na swym zegarku i postawił je na czterdzieści minut na pierwszą.

— No, teraz nie zwodź już, jeżeli możesz.

Znowu powrócił do stolika z różanego drzewa i przemówił:

— Ciociu Zuzanno!

— Co, moja duszko?

— Czy ciocia już jadła śniadanie?

— Tak, przed godziną.

— Cocia zajęta?

— Nie, to jest, szyję. Dla czego się pytasz.

— Czy jest kto u cioci?

— Nie, ale oczekuję o pół do dziesiątej.

— Szkoda, że ja nikogo nie oczekuję. Nudzę się. Chciałbym z kim pomówić.

— Dobrze, rozmawiaj ze mną.

— Ale — chciałbym pomówić sam na sam.

— Nie obawiaj się, nie ma tu nikogo.

— Doprawdy nie wiem, czy zdecydować się...

— Czemuż się wahasz? Wiesz, że możesz mi we wszystkiem zaufać.

— Wiem, ciociu; ale rzecz bardzo poważna, tyczy się nietylko mnie i mojej rodziny, ale i całego społeczeństwa.

— O! Alonzo, mów prędzej. Nikomu nie powiem.

— Oto, widzi ciocia...

— Dalej dalej, prędzej. Kocham ciebie i współczuję z tobą we wszystkiem. Powiedz mi swą tajemnicę.

— O cóż to chodzi?

— Tutaj czas okropny...

— Jak ty się nie wstydzisz tak mnie męczyć Alonzo!

— Przebacz, droga ciociu, nigdy już nie będę.

— Jeżeli żałujesz, to przebaczam ci. Ale znowu zaczniesz mię oszukiwać?

— Nie, słowo honoru. Ciocia bo nie może sobie wyobrazić, jaka tu brzydka pogoda: zimno, wiatr, śnieg. A jak tam u was?

— Gorąco, deszcz, ciemno. Na ulicach widać tylko parasole i cieknącą z nich wodę. Okna pootwierane dla wielkiej duszności, a na kominie pali się ogień, aby choć trochę było weselej oczom i nie tak nudno. Ale wszystko nadaremnie. W duszy posępno, a w powietrzu zapach grudniowych kwiatów, które jak na złość rozkwitły w ogrodzie. Alonzo chciał odrzec: »Wymownie, ciotuniu, to warte druku«, ale powstrzymał się, słysząc, że ciotka zaczęła rozmawiać z kimś innym. Zbliżył się do okna i wyjrzał na ulicę. Zamieć szalała jeszcze silniej niż przedtem; okna trzęsły się; pies przybłęda, skulony przytulił się, drżąc całem ciałem, do muru kamienicy, niby prosząc o przytułek; jakaś biedna dziewczynka z rozwiewającym się kapiszonem płaszczyka brnęła po kolana w śniegu. Alonzo zadrżał i rzekł z głębokiem westchnieniem:

Nie, lepszy upał, deszcz i nawet zapach kwiatów, niż taka szkarada.

Odwrócił się od okna i zaczął się czemuś przysłuchiwać. Dolatywały do niego czułe dźwięki ulubionego romansu. Głosowi i śpiewowi dużo brakowało do doskonałości, ale było w nich coś dziwnie uroczego. Gdy zachwycające dźwięki umilkły, Alonzo przemówił:

— Nigdym nie słyszał nic podobnego.

I podchodząc do stolika z różanego drzewa, zapytał:

— Ciociu, kto jest ta niebiańska śpiewaczka?

— Gość, którego oczekiwałam. Przyjechała do mnie w gościnę na miesiąc. Zaraz cię jej przedstawię. Miss...

— Proszę zaczekać. Ciocia zawsze wszystko robi bez namysłu.

I mówiąc te słowa, Alonzo pobiegł do sypialni i wrócił ubrany podług ostatniej mody.

— Niech djabli porwą! Ona chciała mię przedstawić temu aniołowi, gdy byłem w niebieskim szlafroku z ponsowymi wyłogami.

Zbliżył się z pośpiechem do stolika z różanego drzewa i, uśmiechając się i kłaniając, przemówił niecierpliwie:

— Teraz jestem gotów, ciociu.

— Bardzo dobrze. Miss Rozanno Elten, pozwól mi przedstawić sobie mego ukochanego siostrzeńca, mistera Alonzo Fitz-Clarens'a. Oboje jesteście dobrzy ludzie i jednakowo was kocham; ale muszę się teraz zająć gospodarstwem i zostawię was samych. Siadaj Rozanno, usiądź Alonzo. Do widzenia, niebawem powrócę.

Alonzo przez cały czas uśmiechał się i kłaniał, przysuwał fotele jakoby młodej panience, nareszcie i sam usiadł.

— Oto prawdziwe szczęście! — myślał on. — Teraz niech sobie szaleje zamieć. Co mię to obchodzić może!

Podczas gdy młodzi zaznajamiają się i wesoło rozmawiają, spojrzyjmy na miss Rozannę Elton. W zgrabnej pozie siedziała ona w bawialnym pokoju bogato umeblowanym, który widocznie należał do kobiety rozumnej i wykształconej. Przed wygodnym nizkim fotelem stał ozdobny stolik do roboty, a naokoło niego podłoga była gęsto zasłaną końcami włóczki i jedwabiu rozmaitych kolorów, kawałeczkami wstążek i różnych materyj. Na bogatej kanapie, pokrytej indyjską tkaniną w złote desenie, leżała robota na tamburku. Przy oknie stały sztalugi z niedokończonem malowidłem, a obok na krześle leżała paleta i pędzle. Wszędzie były porozkładane książki: dzieła Tennyson'a, Hawthorne'a, kazania Robertsona, książki do nabożeństwa, podręczniki gospodarskie itd. Fortepian był zarzucony nutami; na ścianach wisiało mnóstwo obrazów, a na etażerkach rozstawione były statuetki, figurki porcelanowe i inne artystyczne drobiazgi. Okna wychodziły na ogród, gdzie rosły w obfitości rzadkie kwiaty i krzaki.

Najpiękniejszą jednak w tym pokoju była młoda panienka. Rysy jej były regularne, greckie; płeć śnieżnej białości z odcieniem lekko różowym; oczy wielkie, błękitne, rzęsy długie, zaginające się, włosy gęste, złotawo-płowe, figura kształtna, zgrabna. Cała jej istota była wyrazem dziecięcej prostoty i gracji gazeli. Jej ubranie odznaczał harmonijny wdzięk i gust delikatny i wykształcony.

Czas upływał, a młodzian i dziewczę wciąż gwarzyli. Wtem miss Rozanna podniosła głowę i spojrzawszy na zegarek, mocno się zapłoniła.

— Żegnam pana, mister Fitz-Clarens, muszę odejść.

Z pośpiechem zerwała się z miejsca, nie słuchając odpowiedzi młodzieńca i nie odwracając oczu od zegarka, odezwała się półgłosem:

— Pięć minut na dwunastą! Dwie godziny minęło, a mnie wydały się zaledwie dwudziestu minutami. Co też on pomyśli o mnie?

W tym samym czasie i Alonzo patrzał z zadowoleniem na swój zegarek.

— Za dwanaście minut trzecia! — Dwie godziny minęły, a mnie wydały się dwoma minutami. Czyliż mój zegarek znów źle idzie! Miss Elton, pani się jeszcze nie oddaliła?

— Nie, ale odchodzę.

— Niech pani będzie łaskawa powie mi, która godzina?

Dziewczę zarumieniło się, mówiąc samo do siebie:

— To okrucieństwo z jego strony — a potem odrzekło bardzo obojętnie: — Pięć minut na dwunastą.

— Dziękuję pani. Pani odchodzi?

— Tak.

— Jaka szkoda!

Odpowiedzi nie było.

— Miss Elton!

— Co?

— Pani jeszcze nie odeszła?

— Nie, ale odchodzę. Co pan sobie życzy?

— Nic. Nudzę się tu ogromnie. Czy nie będzie pani tak łaskawą, pomówić ze mną znów później?

— Nie wiem, pomyślę, będę się starała.

— Dziękuję pani, miss Elton! Odeszła. Jak tu zimno! Powiedziała: »Żegnam pana!...» Jednakże zegarek mówił prawdę. Jak prędko upłynęły dwie godziny.

Usiadł przy kominku smutnie, zwiesiwszy głowę i ciężko westchnął.

— Jak dziwnie... dwie godziny przedtem byłem swobodnym człowiekiem, a teraz serce moje w niewoli w San-Francisko!

W tym samym czasie Rozanna Elton, siedząc na oknie swojej sypialni i patrząc na kałuże, pokrywające ulicę, myślała:

— O! wolę go stokroć, niż głupiego Burley'a z jego pustą głową i płaskim talentem przedrzeźniania znajomych.

*

II.

W miesiąc później mister Sidney Algernon Burley siedział przy wystawnem śniadaniu w swym bogatym domu na górze Telegrafowej i w sposób pocieszny przedrzeźniał znanych aktorów, literatów i miejscowych arystokratów. Był bardzo pięknie i elegancko ubrany. Zdawało się, że był bardzo wesół, a jednak ciągle spoglądał z niepokojem na drzwi. Nakoniec ukazał się lokaj i powiedział coś półgłosem gospodyni, która milcząco kiwnęła mu głową. Mister Burley zrozumiał o co chodziło i nagle osowiał; w jednem jego oku malowało się głębokie rozczarowanie, a w drugiem ponure zwątpienie.

Kiedy się już wszyscy goście rozjechali, zbliżył się do gospodyni i powiedział:

— Ona najwyraźniej unika mnie i nigdy nie chce się ukazać, kiedy ja tu jestem. Gdybym się tylko mógł z nią zobaczyć i powiedzieć jej parę słów...

— Być może, że to wypadek tylko, mister Burley. Idź pan do małego saloniku na piętrze i poczekaj na mnie. Ja wydam rozporządzenia gospodarskie i pójdę później do jej pokoju, a nuż skłonię ją do oddania panu ręki.

Mister Burley usłuchał, ale po drodze, przechodząc około buduaru ciotki Zuzanny, usłyszał przez nawpół otworzone drzwi wesoły śmiech Zuzanny; nie zastukawszy do drzwi i bez pytania wszedł do pokoju. Ale nie przestąpił jeszcze progu, gdy młoda krew jego zastygła i serce ścięło się lodem. Usłyszał głos mówiący:

— Nakoniec otrzymałem ja, moje ty szczęście, twoją fotografję.

Rozanna Elton odwrócona od nowoprzybyłego, rzekła:

— A ja, twoją, najdroższy.

Nachyliła się i pocałowała coś. Mister Burley zadrżał z gniewu. Okrutna ta rozmowa ciągnęła się dalej:

— Rozanno, byłem pewny, że jesteś piękna, ale piękność twoja czaruje i zawraca głowę!

— Rada jestem bardzo, że słyszę to od ciebie, Alonzo.

Wiem, że nieprawdę mówisz, ale przyjemnie mi jest słyszeć twoje pochwały. Byłam przekonaną, że masz szlachetną fizjognomję, ale nigdy nie spodziewałam się, aby miała tyle wyrazu czułego i wspaniałego zarazem.

I znów dały się słyszeć pocałunki.

— Dziękuję ci, Rozanno. Ale fotografja zbyt mi schlebia. Wiesz co, Rozanno!

— Co, Alonzo?

— Jestem niezmiernie szczęśliwy!

— O! Alonzo! nikt dotąd nie zaznał i nie zazna nigdy takiego szczęścia, jak ja.

— O! moja Rozanno. Ty jesteś moją, nie prawdaż?

— Twoją Alonzo i twoją na wieki. W dzień i w nocy powtarzam ciągle: »Alonzo Fitz-Clarens. Istport w stanie Maine«. — Przeklęty! Lecz mam przynajmniej jego adres!—wykrzyknął Burlej i spiesznie wybiegł z pokoju.

Za plecami Alonza stała matka jego, osłupiała ze zdumienia. Była ona od stóp do głowy zakutaną w futro i tak zasypana śniegiem, że mogłaby posłużyć jako wyborne uosobienie zimy.

Za Rozanną stała ciotka Zuzanna, również zdziwiona. Mogła ona być uosobieniem lata; ubrana była w lekką suknię, a w ręku trzymała wachlarz, którym się ciągle wachlowała.

Obie kobiety miały łzy w oczach.

— A więc to dla tego, Alonzo, nie można było wyciągnąć ciebie z pokoju całe sześć tygodni?" — zawołała mistris Fitz-Clarens.

— A więc to dla tego Rozanno, tak uporczywie prowadziłaś życie pustelnicze przez sześć tygodni, przemówiła ciotka Zuzanna.

Młodzi ludzie odskoczyli na bok i wyglądali, jak gdyby schwytani na gorącym uczynku.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece, mój synu; bardzo mię cieszy twe szczęście. Chodź, niech cię uściskam.

— Niech cię Bóg błogosławi, Rozanno, za twoją miłość dla mego siostrzeńca. Chodź w me objęcia. I łzy radości łały się jednakowo na Górze Telegrafowej w San-Francisko, jak i na skwerze w Istporcie. I tutaj i tam zawołano na sługi.

— Przyrzućcie drew na kominek i przynieście mi gorącej limonady.

— Zagaście ogień na kominku i przynieście wody z lodem.

Następnie kazano oddalić się młodej parze, a obie staruszki zaczęły przyjaźnie rozmawiać o przyszłem weselu.

Tymczasem mister Burlej wybiegł jak warjat z domu na Górze Telegrafowej. Mruczał on przez zęby z dzikim świstem, jak zbrodniarz w melodramacie.

— Przysięgam, iż nigdy nie wyjdzie ona za niego za mąż, i za nim wesoła wiosna zastąpi posępną zimę, ona będzie moją!

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika odkryć i wynalazków.

Zacznijmy od zajmującego obliczenia prof. Marksa w Filadelfji. Technik ten postanowił przekonać się, jaka jest najwyższa prędkość, z jaką można daną przestrzeń przebyć lokomotywą pośpieszną, nie wywołując rozerwania kół wskutek siły centrifugalnej. Ostrożni Europejczycy uważają szybkość 120 kilometrów na godzinę, jako wprawdzie możliwą, ale bardzo ryzykowną. Prof. Marks zdwaja właśnie to maximum. Czyni to wprawdzie na papierze, stawiając przed nami tę miłą perspektywę, że będzie można np. z Warszawy do Berlina dostać się w przeciągu $2^1/_2$ godziny. Nie mamy nic przeciwko temu, dopóki nas nie zmuszą do wzięcia udziału w podobnym wyścigu.

* * *

W specjalnych nowojorskich czasopismach z powodu tamecznej kolei wiaduktalnej, zamieszczono zajmujące porównanie między elektrycznemi a parowemi lokomotywami pod względem kosztów budowy i eksploatacji. Rezultaty tych porównań przemawiają za pierwszemi, jako wymagającemi znacznie mniejszych kosztów, lokomotywa bowiem elektryczna połowę mniej waży, niż zwykły parowy rumak, pomijając już to, że aparat elektryczny umieszczony być może pod pierwszym wagonem. Dalej znów elektryczna lokomotywa kosztuje mniej niż połowę od lokomotywy parowej. Jeszcze większe oszczędności wypływają z kosztów eksploatacji. 160 maszyn kursujących w Nowym-Jorku potrzebuje 6 do 7set ludzi wyrutynowanych, zaś maszyny te, każda o sile 30 koni, pożerają znaczną ilość węgla. Kolej zaś elektryczna potrzebuje do maszyny jednego tylko człowieka do obsługi, bez żadnych specjalnych wiadomości, zaś do wytwarzania elektryczności wystarcza sześć stojących parowych motorów i 20—30 maszynistów, resp. palaczy, zaś motory te nie zużywają tyle materjału opałowego, ile wspomnianych 160 lokomotyw. Dzięki elektrycznej eksploatacji, zaoszczędzić może zarząd nowojorskich kolei rocznie pół miljona dolarów.

* * *

Dyrektor Bellingrath, popierając sprawę łańcuchowej żeglugi parowej na Elbie, ogłosił niedawno zajmujące sprawozdanie o urządzeniu taniej i szybkiej komunikacji na Menie. Czytelnikom naszym zapewne nie obcą jest zasada tej żeglugi. Wzdłuż rzeki przeprowadzony jest ciężki łańcuch, którego oba końce przymocowane są zapomocą kotwic; po łańcuchu przesuwa się znajdujący się pod statkiem bęben. Bęben ten, dzięki maszynie parowca, obraca się i w ten sposób posuwa się ku górze lub ku dołowi.

Żywe również zajęcie w kołach specjalistów zbudził parowiec „Antracit“, mający tylko 84 stopy długości, a mogący płynąć po oceanie i to nietylko z powodu szczupłości swych rozmiarów, lecz i dlatego także, że właściciele tego okrętu przekonali, iż przy pomocy odpowiedniego kotła, używać można węgla antracytowego, jako opałowego materjału. Właściciele kopalni antracytu wiadomości tej nie przyjmą zapewne obojętnie.

* * *

Z dziedziny oświetlenia elektrycznego nie wiele jest nowego do zanotowania. W Anglji i Francji tworzą się wciąż towarzystwa akcyjne, pragnące eksploatować jakąś metodę oświetlenia. Tak np. w Paryżu powstało stowarzystwo celem nabycia i zużytkowania patentu lampy Gamina, która, o ile wnieść można ze sprawozdań, podobną jest do lampy Siemensa. Yankesowi było przeznaczonem przystąpić do elektrycznego oświetlenia całego miasta z jednego punktu, mianowicie miasta Holyloke. Tajemnicą jednak dotychczas pozostaje, w jaki sposób przedsiębiorca usunie bardzo „ciemne strony“ tego wynalazku, wobec którego dalsze ulice pogrążone są w egipskiej ciemności, podczas gdy na tuż obok leżących ulicach czytać można najdrobniejsze pismo.

* * *

Fałszerzom weksli i kuponów, lub tym, którzy nimi zostać pragną, polecamy dla wyczerpujących studjów następujące dane, dotyczące mikroskopu, używanego przy demaskowaniu fałszerstw. Manipulacja pisania wpływa na

zmianę pozycji włókienek papieru, któremu następnie niepodobna już przywrócić pierwotnej jego naturalnej płaszczyzny. Mikroskop tedy niemiłosiernie odkrywa wszelkie usuwania się włókienek, jakoteż wszelką skrobaninę lub użycie innego świeższego atramentu. Mikroskop ten przekonywa dalej o względnej starości pisma i o tem także, czy kreślenie liter nastąpiło przed lub po skrobaninie i nareszcie czy pod atramentem znajdują się linje ołówkiem zrobione. Mikroskop dalej zdradza wszelką niepewność, cechującą niezatwardziałych jeszcze fałszerzy, zdradza wszelkie pauzy konieczne przy porównywaniu *duplikatu* z oryginałem. Baczność więc, panowie fałszerze! gdyż uzbrojone oko śledzi za waszemi manowcami!

Wynalazcy klepali często biedę, a dzieje postępów mechaniki wspominają o ciężkich trudnościach, z jakiemi walczyć musieli pionierowie postępu. Bywają jednakże i tu wyjątki, dowodem Bessemer. Wynalazca sławnego *konwertera*, dzięki któremu staniała fabrykacja stali, zyskał 23,154 660 marek; oszczędność zaś osiągnięta przez wynalazek Bessemera w fabrykacji stali równoważy królewskie zyski bezwarunkowo; wynosi ona bowiem 800 milionów marek.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Wspomnienia z mojego życia, napisał Michał Budzyński w 1860 roku. Z portretem autora. 2 tomy. Poznań 1880. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego str. VII. 453 i 356.

Do rzędu licznych pamiętników wydanych przez zasłużoną firmę Żupańskiego w Poznaniu, przybywa znów dzieło, które ani co do wytworności wydania, ani ważności przedmiotu, nie ustępuje poprzednim nakładom tegoż księgarza. „Wspomnienia" Michała Budzyńskiego wzięliśmy z zaciekawieniem do ręki, a z każdą odczytaną kartką, rósł nasz interes dla nich i nie oderwaliśmy się od nich pierwej, aż nam ostatnia tomu drugiego zaświeciła stronnica. Michała Budzyńskiego znaliśmy jako tłumacza dzieł dramatycznych Schillera, jako tłumacza Pielgrzymki Czajld-Harolda Byrona, jako autora kilku powieści — ale o życiu jego nie mieliśmy wyobrażenia. „Wspomnienia" zaznajamiają nas obecnie z przebiegiem tego życia, a jest ono nader ciekawe.

Autor urodzony w r. 1811 na Wołyniu, bierze jako 19-letni młodzieniec udział w powstaniu listopadowem, w oddziale jazdy wołyńskiej Karola Różyckiego. Z Różyckim przechodzi po upadku powstania, do Galicji; ukrywa się tutaj, spiskuje, doznaje prześladowań, więżą go, a uwolnionego w r. 1836 transportują przymusowo za granicę państwa austrjackiego. Udaje się więc do Anglii, Belgii, wreszcie Francji, a mianowicie Paryża, gdzie poznaje księcia Adama Czartoryskiego i przyjmuje u tegoż obowiązki ajenta dyplomatycznego. Wysłany przez księcia Adama do Konstantynopola, w pomoc drugiemu ajentowi, Michałowi Czajkowskiemu, celem przeciwdziałania wpływom rosyjskim na półwyspie, jest tam czynny między Słowianami aż do r. 1847, w którym wyjeżdża z rozkazu księcia do Rzymu, gdzie przydzielony zostaje do ajencji polskiej, pod przewodnictwem Ludwika Orpiszewskiego zostającej. W końcu roku 1848 wraca do Paryża i obejmuje przewodnictwo kancelarji politycznej księcia Adama Czartoryskiego. Tutaj nie bawi długo. Stęskniony za ojczyzną, a nie widząc odpowiedniego pola działalności, na któremby można z korzyścią dla kraju pracować, stara się, przez wpływowe osoby, uzyskać pozwolenie powrotu na Wołyń, a uzyskawszy takowe w r. 1850, wraca do kraju, żeni się w r. 1854, osiada na wsi, w majątku swej żony i drukuje w Lipsku, Warszawie, Petersburgu, Brukseli swoje prace literackie — bądź w czasie emigracyjnego żywota, bądź w kraju dokonane.

„Wspomnienia" z takiego życia — że tu użyjemy słów Kraszewskiego, wypowiedzianych w przedmowie do książki Budzyńskiego — „są ciekawe i zajmujące, jako przyczynek do historji emigracji naszej z r. 1830—1831, zarazem są studjum nad człowiekiem, są obrazem indywidualności, obudzającej współczucie i dającej nam na sobie przykład tego wewnętrznego przetwarzania się pod wpływem wyojczyźnienia, jakiemu uległy najpotężniejsze nawet umysły i serca na wygnaniu".

Budzyński żyjąc i działając w sferze politycznej książąt Czartoryskich, jako ich ajent dyplomatyczny i szef kancelarji politycznej, miał sposobność wejrzeć w zabiegi dyplomatyczne księcia Adama więcej jak inni, to też wie o nich szczegóły, których gdzieindziej niemożebnem by było spotkać. Miał sposobność jako zaufany księcia, jako były wojskowy, a wreszcie jako wysoce uzdolniony pisarz, zetknąć się z wieloma znakomitościami współczesnej epoki, to też o wielu umie opowiedzieć mnóstwo zajmujących szczegółów. We „Wspomnieniach" spotykamy się z mniej lub więcej dosadną i obszerną charakterystyką prawie wszystkich znakomitości emigracyjnych; znajdujemy w nich wiele faktów bądź nowych, bądź w odmiennem świetle przedstawionych. Z pomiędzy wielu innych szczegółów i wiadomości zasługują na największą uwagę, szczegóły z życia i działania Adama Mickiewicza, oraz fakta dotyczące się Towiańskiego i stosunku jego do naszego nieśmiertelnego wieszcza. Są to rzeczy zupełnie nowe i nader ciekawe.

Nie umiemy lepiej zaznaczyć ważności tych „Wspomnień" jak przytoczeniem słów Kraszewskiego, który o nich mówi:

„Pamiętniki te przynoszą lub nieznane, albo fałszywie przedstawiane fakty, ze szczegółami nowemi dla nas, opowiadane z tą dobrą wiarą, jaka cechuje autora. Szczególnie pobyt jego na Wschodzie, później w Rzymie, obfituje w rysy, z których wiele historykowi emigracji naszej i jej działalności obojętnemi nie będą. Autor mógł w wielu wypadkach nie dostrzedz zupełnego znaczenia spraw opisywanych przez siebie, mógł je ze swego stanowiska osobistego malować, lecz wszędzie jest człowiekiem głębokiego przekonania, sumienności rzadkiej, dobrej wiary nienaruszonej... Pamiętniki jego mają cechę szczerości, uczciwości, rzetelności, która im wielkiej ceny dodaje"...

Autor mówi także o kilku osobach dotąd żyjących, a jakkolwiek na zdanie jego o nich zgodzićbyśmy się nie mogli, usprawiedliwiamy go dobrą wiarą z jaką pisał swoje „Wspomnienia". W każdym razie są one bardzo ważnym materjałem do historji naszej od r. 1830—1850 i ona kiedyś w przyszłości da wyrok, o ile sądy autora o ludziach i zdarzeniach były słuszne i sprawiedliwe.

„Wspomnieniom" Michała Budzyńskiego życzyć należy, aby się znalazły w rękach tych wszystkich, którym nieobojętne są sprawy ojczyste i smutne dzieje polistopadowej, emigracyjnej epoki. Na zakończenie powiedzmy razem z Kraszewskim, że „czytając je rośnie w nas szacunek dla człowieka, a z nim uznanie dla książki, będącej spowiedzią z życia nauczającą".

W. J. Wdowiszewski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(B) Wśród jesiennych zmian pogody, jak wiadomo zbliżonych bardzo do łaski pańskiej i gustu kobiet, na porządku dziennym mamy szereg koncertów i całą litanję ankiet zwoływanych przez Wydział krajowy. Funkcjonuje dwie ankiety szkolne, trzecia mająca związek ze szkołami, bo dotycząca zaprowadzenia internatu dla seminarzystów nauczycielskich we Lwowie, wreszcie czwarta tak zwana naftowa, mająca zdecydować o najwłaściwszem zużyciu kwoty 10.000 złr. wyznaczonej corocznie przez lat pięć na wspomożenie tej gałęzi przemysłu górniczego w Galicji. Ankieta szkolna ciągle jeszcze funkcjonuje i o ile da się wyciągnąć sens z podawanej tu i ówdzie treści jej obrad, rzecz cała obraca się koło wytknięcia ostatecznych granic nauce wykładowej w szkołach ludowych. Szczupłe ramy kroniki tygodniowej nie pozwalają nam wdawać się w szczegółowy rozbiór zdań i uwag wypowiadanych przez członków ankiety, w której Rada szkolna krajowa skazaną jest na rolę obwinionego i nieustannie bronić się musi od zarzutów, że usiłuje zanadto obciążać nauką młode głowy włościańskie, polecając uczyć je gramatyki i nauk przyrodniczych. Biedna ta Rada szkolna, sumituje się jak może, że czynią to nauczyciele bez jej wiedzy, wprost na swoje ryzyko, przyrzeka, że więcej tego nie będzie — wszystko to nie pomaga; wołają reformatorowie: zmniejszyć naukę gramatyki i nauk przyrodniczych, a powiększyć godziny religji.

Nie zaprzeczamy, że wychowanie młodzieży w duchu i zasadach religijnych, musi być główną podstawą oświaty i wykształcenia narodowego, szczególniej u nas w Polsce, lecz niemniej potrzebnemi zdają nam się wiadomości przyrodnicze, i znajomość ojczystego języka, który właśnie stanowi o tej narodowości, i który jak niewątpimy i sejm i Rada szkolna i ankieta, chciałyby wzmocnić i utrwalić jak najbardziej. Lud nasz i potrzeby jego umysłowe, są zupełnie różne od potrzeb innych narodowości Austrji i dlatego też powinniśmy mieć pod tym względem swoje własne, na ogólnych zasadach edukacji oparte zdanie. Niemieckie lub francuskie dziecko zupełnie inaczej od naszego myśli, inaczej pojmuje, inaczej zdaje sobie sprawę z wrażeń otrzymywanych ze świata zewnętrznego, czego dowodem jest nawet odmienna budowa szyku zdań w tych językach. Dlatego sądzimy, że daleko większą usługę debatom szkolnym oddałaby mniej specjalna i fachowa, a więcej racjonalna ocena po-

trzeb kraju naszego. Zgodzono się na sześcioletni przymusowy kurs nauk w szkołach ludowych, więc czegoż przez te sześć lat uczyć, jeżeli już na gramatykę i nauki przyrodzone nie ma się znaleść miejsca? Wprawdzie teraz w galicyjskiem szkolnictwie zapanowała metoda. Ten wyraz metoda, metodyczny, metodycznie jest tak powszechnym na wszystkich pedagogicznych ustach, że dalibóg za lat kilka, gdy ta metodyczność już wsiąknie dobrze w organizm naszych dzieci, nie będziemy mieli ludzi, ale poprostu chodzące metody. Widzieliśmy książki metodycznego wykładu arytmetyki, w których pół tomu poświęcono metodzie nauczenia dziecka rachować do dziesięciu. Nie wiele, przyznacie czytelnicy niemetodyczni, jeżeli wy, prostaczkowie zwyczajni, potraficie dokonać tej sztuki bez metody w ciągu jednej godziny na swoich dzieciach.

Metoda moi panowie, jest to logika w głowie i jaka taka zdolność, tylekroć zmienna, ile rozmaitą jest zdolność dzieci, które mamy uczyć. Zostawcież ją dobrej woli nauczyciela, a żądajcie od niego choćby minimalnego postępu uczniów, którym on przewodniczy. Ujmując wszystko w formuły, zabijacie od razu samodzielność i nauczycieli i uczniów, robicie z nich maszyny czytające, rachujące, ale w granicach metody. Zapytać o coś dziecko, inaczej jak jest w metodzie, nie umie odpowiedzieć, bo umysł jego zna tylko formy, które mu do głowy wtłoczono.

Długich debatów nie potrzeba nad tem, czego uczyć włościańskie i niewłościańskie dzieci. Przedewszystkiem powinny znać siebie jako całość indywidualną i jako cząstkę społeczeństwa, potem prawa rządzące naturą, z którą żyją i prawa, jakie im służą jako obywatelom kraju, a zatem i obowiązki, jakie na nich ciążą. Dlaczego panowie organizatorowie nie przeczytają sobie i nie uprzytomnią tyle cenne uwagi o wychowaniu ludu, jakie podał nieoceniony Libelt? Tam jest cała metoda, do której oświata ludu dążyć powinna, ażeby on jak najprędzej i jak najskuteczniej stał się użytecznym obywatelem kraju i członkiem cywilizowanego społeczeństwa. Tamowanie włościanom nabycia tak zwanej surdutowej nauki, uważamy zamysłem mającym wszelkie znamiona cofania się wstecz. Nikt na czole dziecka ubranego w świtę nie wypisał jego przeznaczenia; a gdyby tak być miało, to bardzo smutnie wyglądałoby dziś nasze inteligentne społeczeństwo, zasilające się najskuteczniej właśnie w tych siermięgowych sferach. — Jeżeli już koniecznie mamy iść tą drogą z całą otwartością to powołajmy do życia napowrót stare prawo z czasów Zygmunta Augusta: że tylko do lat dwunastu wolno się chłopskim dzieciom uczyć, stwórzmy napowrót cechy i ustanówmy granice kastowe. Nie, panowie, tą drogą nigdy nie dojdziemy do rezultatu, jaki sobie naznacza edukacja narodowa u nas — to jest do oświecenia mas i powiększenia szeregów obywatelskich. Każde dziecko ludu powinno tak być kształcone, żeby miało otwartą drogę i wrota do wszelkiej nauki i wszelkiej karjery — zamykanie jego ducha na kłódkę mniemanego powołania, jest toż samo co zaprzężenie do pługa na całe życie.

Nauki przyrodnicze nie przeszkadzają zupełnie religijnemu wychowaniu, lecz owszem podnoszą uczucie wdzięczności do Stwórcy, niszczą zabobony i dają człowiekowi poczucie jego wyższości wobec stworzenia. Tylko naukę taką trzeba zacząć od tego, co najbliżej otacza, a najprzód od samego człowieka, który sam jest najdoskonalszą machiną, jaką Bóg stworzył, a dla niego do dziś dnia tak tajemniczą, że wielu nawet wykształconych, może i skończonych doktorów (ma się rozumieć nie medycyny) dokładniej wie, ile Saturn ma księżyców, jakie prawa rządzą rozrostem ludności, a nie wie w którem miejscu leży jego wątroba, albo w jaki sposób przerabia się obiad na krew i ciało jego własne.

Dalej każdy kodeks powiada, że niewiadomość nie uwalnia od skutków prawa — a zatem obowiązkiem jest tych, którzy w swem ręku dzierżą wychowanie narodu, nauczyć znajomości tego prawa, żeby potem nie karać niewinnego. Zamiast tedy mordowania dzieci przedmiotami, mającemi wykształcić go niby to humanitarnie, dajcie mu poznać najprzód siebie samego, a potem jego obowiązki i prawa cywilne i społeczne. — Rzeczy takie nie powinny być tajemnicą dla ogółu, a tylko przystępne dla wybranych specjalistów! Jeżeli karzecie w imię prawa — nauczcie prostaczka, jak on ma żyć i postępować, aby uniknąć skutków tej kary.

Nie przyznajemy sobie w tej materji specjalności, a te parę uwag tu rzuconych uważamy jako wynik prostego chłopskiego rozumu, nieznającego żadnej metody, a tylko obserwującego fakta, mające praktyczną doniosłość w życiu człowieka — kronikarza!

* * *

W ostatnim numerze „Tygodnia“ donosiliśmy o mającem się wkrótce ukazać wydawnictwie p. t. „Zbiór pamiętników do powstania 1830—1831 r.“ a to staraniem Komisji wydawnictw pamiątkowych na uczczenie pięćdziesięcioletniej rocznicy listopadowej. Pamiętniki te, są nie tylko nadzwyczaj zajmujące, ale zawierają nadto wiele cennych i zupełnie nowych szczegółów z wypadków 1831 r. historykom dotąd nieznanych.

Dzięki uprzejmości członków Komisji, otrzymaliśmy kilka urywków z tych pamiętników, które wejdą do wyższego zbioru i które z kolei będziemy wprzód drukowali w Tygodniu.

Dziś zamieszczamy właśnie urywek ze wspomnień Jana Bartkowskiego, b. podporucznika 1. pułku ułanów, obecnie profesora liceum w Nancy, na który zwracamy uwagę czytelników.

* * *

Dwa smutne wypadki śmierci zasłużonych ludzi, mamy do zanotowania w kronice dzisiejszej. Na Litwie, w wiosce Miasocie, powiecie Wilejskim zmarł 6. b. m. Aleksander Tyszyński, jeden z pisarzy i krytyków stanowiących przez długie lata poważną siłę w naszem życiu literackiem. Dnia zaś 16. b. m. we Lwowie, po długich cierpieniach przeniósł się do wieczności Stanisław Dobrzański, syn redaktora „Gazety Narodowej“, wielkiego talentu artysta dramatyczny i znany komedjopisarz. Pokój ich popiołom.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** W taniem wydawnictwie Bibljoteki Mrówki, jako tomiki 102 i 103, ukazały się dwa poematy Syrokomli: „Jan Dęboróg“ i „Szkolne Czasy“ — jedne z najpiękniejszych klejnotów naszej poezji.

*** Sprawozdanie z czynności Wydziału Czytelni akademickiej w Krakowie wyszło w tych dniach z druku.

*** Dr. Aleksander Świętochowski wydaje w tłumaczeniu własnem znakomite dzieło Alberta Lange p. t. „Geschichte des Materialismus“.

*** Włodzimierz Spasowicz będzie miał w Warszawie odczyt o Szekspirze, a to na dochód warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

*** Wychodząca w Warszawie „Gazeta lekarska“ z dniem 1. stycznia przechodzi na własność obecnego jej redaktora d-ra H. Łuczkiewicza.

*** Z początkiem Nowego roku ukazać się ma w Warszawie pismo tygodniowe p. t. „Gazeta kolejowa“.

*** W Poznaniu ma być założony drugi postępowy dziennik niemiecki.

*** P. G. Kohn w Przemyślu wydał zbiór przełożonych przez siebie na język niemiecki patryotycznych poezyj naszych najznakomitszych poetów, p. t. „Libertas Lieder und Reminiscenzen aus der Zeit der Freiheitskämpfe, verfasst von den namhaftesten polnischen Dichtern.“ O tłumaczeniach tych pomówimy wkrótce obszerniej.

*** W Petersburgu otwartą została w tych czasach t. z. „Wystawa puszkińska“, obejmująca wszystkie pamiątki, rękopisy, portrety poety, dalej ilustracje do jego utworów, portrety jego przyjaciół, tłumaczenia na obce języki współczesnych pisarzy i t. p.

Pomiędzy innemi ogólną uwagę zwracają dwa wielkie kartony, przeznaczone do projektowanego wydania dzieł Puszkina.

Pierwszy karton zatytułowany „Tatjana“ (bohaterka romansu „Onegin“) jest utworem Andriollego — drugi „Wojewoda“ (przekład rosyjski „Czatów“) ułożony został przez p. Tadeusza Dmochowskiego.

Ten ostatni przedstawiający chwilę, gdy...

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy
I pierś kryła pod rąbek bielizny;
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Klęczącego u kolan mężczyzny —

podoba się ogólnie i dobrze rokuje o młodym artyście.

Oba kartony stanowią własność petersburskiego wydawcy p. B. M. Wolffa.

Również na uwagę zasługuje umieszczony na wystawie portret Mickiewicza, jako jednego z tłumaczy, przyjaciół i wielbionych przez Puszkina poetów.

Portret ten, zdjęty w młodych latach Adama, o ile nam wiadomo, dotąd u nas nie jest znany.

Którekolwiek z pism ilustrowanych postarać się oń powinno.

*** „Ateneum“ w zeszycie za miesiąc listopad zawiera: 1. Ostatnie lata Witolda, przez Antoniego Prochaskę. 2. Sylwek Cmentarnik, przez Elizę Orzeszkową. 3. Stosunki gminne w Królestwie Polskiem, przez Juljana Łapickiego. 4. Szkice z Anglji, przez Sewera. 5. Nowe książki dla dzieci, przegląd pedagogiczny. 6. Układ elementarza i jego zasady, przez Adolfa Dygasińskiego. 7. Rozbiory i sprawozdania komisji historycznej Akademji Umiejętności w Krakowie. Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego, zebrał i wydał Franciszek Kluczycki; przez Klemensa Kanteckiego. 8. Kronika miesięczna.

*** „Kosmos“, czasopismo Polskiego Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie X. z r. b. zawiera: 1. Fizyka we współczesnej Francji, studium Zygmunta Wróblewskiego. 2. Ro-

ślinność letnia i jesienna okolic Bilcza i Cygan, podał Bronisław Błocki. 3. Przegląd krytyczny podręczników, używanych do wykładu nauk przyrodniczych w galicyjskich szkołach średnich, przez A. Filipowicza. 4. Piśmiennictwo (obrazy z życia Flory), przez Hipolita Parasiewicza. 5. Kronika naukowa, przez L. Hodolego i M. D. Wąsowicza. 6. Wiadomości bieżące.

*** W Niemczech ukazała się praca p. t. „Język przyszłości“, jestto mała broszurka proboszcza z Konstancji, Jana Marcina Schleyera, który przed dwu laty wydał swój „alfabet powszechny“.

Książeczka, o jakiej mowa, obejmuje próbę dykcjonarjusza i gramatyki wszechjęzycznej.

Przedmowa pełna retorycznych ozdób, zawiera apologję użyteczności nowego systematu, wskazując, że wobec jednoczenia się ludów na polu przemysłu i handlu, język wspólny będzie krokiem naprzód ku wspólnej owczarni, oraz przybliży epokę braterstwa.

Dalej autor przemawia za jednością czcionek... dotąd wszystko idzie gładko i rozumowanie wspiera się na praktycznych, jakkolwiek nie nowych uwagach: trudności zaczynają się przy gramatyce.

Pastor ks. Schleyer wychodzi ze stanowiska, że wszystkie języki mają wspólny pierwiastek, dla scharakteryzowania którego ludy winny się trzymać jednej pisowni; spory w tym względzie ma rozstrzygnąć akademja, dla której siedlisko proponuje w Lipsku.

Nowy język nie zna przedimków, ani też nie wie nic o rodzajach; płeć odróżnia się dodaniem cechy wspólnej dla każdej mowy, tak samo jak przypadki.

Prawdziwą cudowność wynalazku stanowi to, że liczba wszystkich wyrazów mowy powszechnej nie przechodzi 3 tysięcy.

W systemacie wszelako szanownego autora jest jedno nieszczęście! a mianowicie, że punktem wyjścia w jego rozumowaniach jest język niemiecki, że szczególności wszelkiego narzecza do mowy germańskiej naginać należy i że celem wynalazku jest zapewnienie dla języka Niebelungów stanowczej hegemonji.

Dodajemy, że dzienniki poważne w Berlinie śmieją się z projektu, zapewniając, iż nowego języka nikt nie zrozumie, a nawet sam wynalazca, zwłaszcza, iż w dykcjonarzu bogatym dla Niemców braknie najpotrzebniejszych wyrażeń dla innych narodowości.

Słowem, jestto język dla niemych, który potrzeba zapełnić mimiką.

Jeden z humorystycznych świstków twierdzi, że gdy autor w swej gminie zacznie kazać nowym kluczem, wszyscy parafianie będą zbudowani, bo nic niedorzecznego nie obrazi ich uszu..

Nauka

*** W przeszłym tygodniu odbył się w uniwersytecie warszawskim pierwszy nadprogramowy wykład języka czeskiego, wprowadzonego na katedrę skutkiem prośby studentów kursu prawnego. Auditorjum było szczelnie zapełnione przez studentów wszystkich fakultetów. Wykładał prof. Perwolf.

*** Na wydziale przyrodniczym Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu dr. Szafarkiewicz czytał „O materji promieniejącej według teorji Crookego.“ Na wydziale historycznym powyższej instytucji czytano rozprawę „Prusy a kościół katolicki 1640 do 1740 r.“

*** Na posiedzeniu komisji językowej Akademji N. w Krakowie złożono materjały do słownika staropolskiego, oraz spis wyrazów z okolic Czerska, przez Matlakowskiego, do słownika ludowego.

*** W czasopiśmie angielskiem, poświęconem wyłącznie zoologji „Procedings of the Zoological Society of London“ (dec. 2,1879), pomieszczoną została rzecz ks. Władysława Lubomirskiego p. t. „Notice sur quelques coquilles de Pérou“.

Jestto dokładny spis mięczaków brzuchonogich („gastropada“), zebranych w Peru od r. 1870—1878, przez dwóch naszych podróżników: Konstantego Jelskiego i Jana Stolcmana.

Właściwy spis obejmuje gatunki rodzaju „Helix, Bulimus i Clausilia.“

Pomiędzy gatunkami znanemi znalazły się i zupełnie nowe, które opisał ks. Władysław Lubomirski po raz pierwszy.

Tu nadmienić winniśmy, iż książę, wielki lubownik nauk przyrodniczych, szczególniej zaś „konchyjologji, posiada w Warszawie wspaniały zbiór muszli, mający już naukowe znaczenie i piękną bibljotekę konchyjologiczno-malakologiczną.

Z rodzaju „Helix“ opisał książę dwa nowe gatunki „Helix pseudo-planobis i Helix Stolcmanni“ (na cześć naszego podróżnika tak nazwany).

Z rodzaju „Bulimus“ opisał książę dwa gatunki nowe: „Bulimus Wrześniowskii i Bulimus Jelskii.“

Z rodzaju „Clausilia“ opisane są aż cztery gatunki: jeden poświęcony znanemu ornitologowi Wł. Taczanowskiemu „Clausilia Taczanowskii,“ drugi „Clausilia Ślósarskii“ (Ślósarski ceniony malakolog), trzeci i czwarty „Clausilia filocestulat“ i „Clausilia Chacaensis“.

Sztuki Piękne.

*** Na wystawę Warszawskiego Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły w minionym tygodniu następujące obrazy:

„Zamek w Dębnie od strony północnej“ i „Zamek w Dębnie od strony południowej“ Józefa Wodzińskiego, — „Okolice Zaborowa“ Józefa Góranowskiego, — „Fałszywa melodja“ Edmunda Perla, — — „Martwa natura“ Anieli Wisłockiej.

*** Pan Kozakiewicz wykończył „Medalion Kraszewskiego“ rznięty w drzewie i kompozycję „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“ — płaskorzeźba przedstawiająca żniwo.

*** Starożytna akademja sztuk pięknych San Luca w Rzymie odbyła dnia 29. października uroczyste posiedzenie jeneralne, na którem wprowadzeni zostali trzej ostatnio mianowani członkowie.

Nominacja padła tym razem na samych tylko malarzy, a mianowicie na Włocha Cesare Maccasi, na Polaka Henryka Siemiradzkiego i Niemca Gustawa Müllera, którego brat Edward, rzeźbiarz, oddawna już jest członkiem akademji.

Do nominacji przywiązanem jest nadanie tytułu „profesora“.

*** W tych czasach ukazać się ma w handlu księgarskim publikacja zeszytowa p. t. „Historja teatru Skarbkowskiego we Lwowie“ napisana przez pana Mieczysława Chrzanowskiego, znanego tłumacza i bibliografa. W książce powyższej pomieszczony zostanie spis sztuk wedle ich rodzaju, spis autorów i tłumaczów, obsady głównych ról, imienna lista aktorów z biografją celniejszych, znakomitsze recenzje współczesne — w ogóle wszystkie wiadomości z niemałą cierpliwością zebrane, a z historją lwowskiej sceny związek mające.

*** W pozostałościach po Offenbachu odnaleziono trzy operetki, które dotąd nie były wystawione we Francji. Pierwsza nosi tytuł „Moricheron“, druga „Friquette“, a trzecia „Coscoletto“, Offenbach w ostatnich latach pracował nad trzecim aktem do „Coscoletto“, lecz roboty tej nie dokończył.

*** Do Warszawy ma przybyć p. Jakób Nagy, węgier, grywający na bardzo oryginalnym instrumencie, bo na zwykłej ligawce zrobionej z bzu.

Pod palcami p. Nagy bezpretensjonalny ten instrument dźwięczyć ma nadzwyczajnie silnemi i miłemi tonami.

Do wirtuozostwa na tym osobliwym instrumencie doszedł p. Nagy podczas długiej a przymusowej samotności...

Grę jego słyszano w wielu większych miastach Europy.

W Poznaniu tylko, gdzie właśnie kilka dni temu koncertował, nie miał p. Nagy szczęścia podobać się niemieckiej publiczności za to, że w granych przezeń utworach dało się słyszeć dużo tematów słowiańskich...

Synowie wielkiej Germanji mścili się w ten sposób za wygnanie z Pesztu teatru niemieckiego!

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Smutny bywa los księgozbiorów, znacznym nieraz nakładem i pracą całego życia gromadzonych.

Dopóki żyje skrzętny zbieracz-bibljofil, skarb taki trzyma się w całości; wraz ze śmiercią zaś właściciela, jeżeli nie znajdzie się możny nabywca, księgozbiór idzie w rozsypkę, lub staje się ciężarem dla pozostałej rodziny.

Taka dola w ostatnich czasach spotkała bibljotekę kasztelana Dembowskiego, dyrektora Gumińskiego i szacowne a podobno nie mające jeszcze nabywcy zbiory Podczaszyńskiego.

Obecnie oczekuje także na nabywcę bibljoteka zmarłego w r. b. w Kielcach b. profesora tamtejszego gimnazjum Rajmunda Duchnowskiego, składająca się z 2.000 przeszło tomów.

Prawie wszystkie działy nauk znajdują tu swoje źródła i pomoce.

Samych dzieł odnoszących się do dziejów i literatury polskiej, wspomniona bibljoteka liczy przeszło 500 tomów, a w tej liczbie mieszczą się i białe kruki, jak: Orzechowskiego „Chimera“ z 1562 r. „Quincunx“, „Djalog około egzekucji polskiej korony“ — dalej Kadłubek, Kromer, Lengnich, Okolski (*Orbis polonus*) i wielu innych.

Wysoką wartość ma także rękopis „Historji z roku 1794“, rzecz skreślona przez ówczesnego świadka.

Żałowaćby należało, aby cały szacowny ten zbiór w częściowej rozprószył się sprzedaży, tembardziej, że umiarkowana jego cena, dla ludzi możnych a umiejących cenić trudy w zbieraniu tak różnorodnych a gruntownych pomników wiedzy, nabycie całej bibljoteki czyni przystępnem.

*** Wychodztwo do Ameryki z Księztwa Poznańskiego nie zmniejsza się, ale, jak donosi „Posener Ztg.“ wzrasta. W północnych powiatach daje się czuć już skutkiem togo wielki brak robotnika. Na wiosnę spodziewać się można jeszcze silniejszego wychodźtwa, niemieckich bowiem kolonistów ogarnęła też manja emigracyjna.

*** W Pradze wybrany został na rok 1880 i 1881 nowy zarząd stowarzyszenia polskiego. Na przewodniczących powołano pp. F. Choińskiego i Edwarda Jellinka, na sekretarza Wł. Langiego, na gospodarza A. Cihalika, na bibliotekarza L. Schmihta, na skarbnika S Towarnickiego. Towarzystwo urządzać ma wieczory literackie i zabawy każdej niedzieli o godzinie 6. wieczorem w sali „Umeleckiej besedy“.

*** W Leoben na 169 słuchaczów zapisało się do akademii górniczej 40 Polaków.

*** Warszawskie towarzystwo zachęty sztuk pięknych, ogłosiło koukurs na projekt cmentarza do palenia ciał zmarłych.

*** Rzymski projekt Villi o ustawie rozwodowej dozwala udzielanie rozwodu tylko w dwóch wypadkach: 1) jeżeli jedna strona skazaną została na karę hańbiącą i 2) jeżeli separacja prawna istnieje już od kilku lat.

*** Poniżej Halicza na Dniestrze, saskie towarzystwo żeglugi buduje statek parowy i 6 bark do odbywania podróży i przewożenia towarów do okopów Św. Trójcy; przedmiotem wywozowym ma być węgiel kamienny sprowadzany ze Szląska.

*** Inżynier Rychnowski we Lwowie otrzymał roczny przywilej na poprawkę do przyrządu oświetlania elektrycznego.

*** W ciągu ostatnich jedenastu lat Edison wziął 230 patentów; z tych 35 na telegrafy automatyczne, 8 na podwójne i poczwórne telegrafy, 38 na telegraficzne aparaty drukarskie, a resztę na pióra elektryczne i inne wynalazki.

*** Wiedeńskie Towarzystwo fotograficzne urządza z okazji 25-letniej rocznicy swego istnienia, międzynarodową wystawę fotograficzną, mającą się odbyć w roku 1881 w czasie od 20. stycznia do 30. marca, w gmachu c. k. muzeum sztuk i przemysłu austrjackiego.

*** Wiedeńska Rada miejska postanowiła częściowe oświetlenie elektrycznością miasta Wiednia; na początek urządzone zostanie światło elektryczne na placu przed operą i na obydwóch podjazdach.

*** W Berlinie istnieje dwadzieścia dwie rzeźni końskich, w których w r. b. zabijano przeciętnie ciowo 450 koni miesięcznie.

*** Do Lublina przybył teatr żydowski, grający w żargonie używanym przez izraelitów.

*** Bitwa mrówek. Dla amatorów bojowania nieobojętną powinnaby być wiadomość, że na polu bitwy mrówki rozróżniają sprzymierzeńców od wrogów nie gorzej od żołnierzy dwóch armii ludzkich bój zwodzących z sobą. P. Marja Tuent opisuje w dzienniku „American Naturalist“ walkę, jakiej była świadkiem, pomiędzy mrówkami czerwonemi zabierającemi niewolników a czarnemi. Pierwsze były najezdzcami i zwyciężyły. Mrowiska ich odległe były o stóp dwadzieścia. Czerwone mrówki wystąpiły skupioną kolumną na tyleż stóp długą i na stopę szeroką w doskonałym porządku. Czarne, stanowiące niemniej liczne szeregi dzielnie dotrzymywały placu na własnem terytorjum. Pole bitwy rozciągało się na dwadzieścia pięć stóp szeroko w około mrowiska czarnych. Szmer poprzedzający walkę trwał przez pięć minut, a bitwa ciągnęła się cztery do pięciu godzin, zanim czerwone zdobyły mrowisko czarnych. Przez dwie całe doby trwało przenoszenie poczwarek i niewolników do mrowiska zwycięzców.

ROZMAITOŚCI.

ŁOWY NA LISA W ANGLJI.

Z początkiem listopada rozpoczyna się sezon myśliwski dla gentlemanów Albionu; w każdem niemal hrabstwie polowanie na lisa inauguruje wiejskie rozrywki lordów i w ogóle ludzi zamożnych, oddających się z zamiłowaniem sportowi.

Pierwszy listopada zgromadza zazwyczaj dobrane grono myśliwych na miejscu umówionej schadzki; tak zwani *maitres des meutes* urządzają polowanie według wszelkich przepisów łowieckich.

Biedny lis Mykita, zwabiony podstępem, lub gwałtem ze swej nory wypłoszony, daje hasło do rozpoczęcia łowów, a właściwie gonitwy szalonej przez pola, zarośla, rowy, strumienie, płoty, często nawet przez rzeki, byle nie szersze nad 30 stóp angielskich.

Przy tej sposobności niejeden z jeźdźców musi użyć kąpieli wcale nieprzyjemnej, chociaż odświeżającej, przy temperaturze znacznie obniżonej.

Sezon takich łowów *par force* trwa cztery miesiące, do końca lutego.

Każdy zamożniejszy gentleman uważa sobie za punkt honoru urządzić w dniu 1-ym listopada polowanie z nagonką; sport to kosztowny, miljony franków i szterlingów pochłania myśliwstwo angielskie...

Trzyma się do tego osobną służbę, chowa osobne konie, psy, zbiera broń palną wszelkich systemów.

Nie rzadko zdarza się, że panowie angielscy za dobrze ujeżdżonego i wytresowanego *huntera* (konia do łowów) płacą od 300—500 funtów szterlingów.

W pogodny dzień zbiera się niekiedy kilkuset myśliwych obojej płci, wierzchem, w kostjumach łowieckich, co daje oryginalny i zajmujący w swoim rodzaju widok, dla nas co najwięcej znany z opisów, albo z akwarelli angielskich illustracyj.

Płeć piękna przyjmuje często udział w takich obławach, zwłaszcza w hrabstwach położonych na płaszczyźnie, jak Leicesterskie, Limolnshire lub Cambridgeshire.

Kobiety na równi z mężczyznami ubiegają się o trofea łowów, które stanowi puszysta kita zamęczonego gonitwą lisa.

Kitę taką oddają śmiałemu i wytrwałemu jeźdźcowi, lub amazonce, która dotrzymała placu rozżartej sforze, ścigającej strwożonego Mykitę i była najbliżej krwawego dramatu, gdy psy opadały lisa.

Oni sami na miejscu odcinają ogon biedakowi i wręczają go tryumfatorowi, czy tryumfatorce łowów.

Uwierzyćby się nie chciało, z jaką zapamiętałością ubiegają się piękne damy angielskie o to odznaczenie, które często życiem, albo kalectwem przypłacać muszą...

W pogoni za lisem zdarza się, że ta lub owa *lady* spada z konia, rozbija sobie głowę, lub poraniona kopytami własnego *huntera* w kałuży krwi ostudza łowiecki zapał.

Młode panny, pomimo grożącego niebezpieczeństwa, najchętniej oddają się temu karkołomnemu sportowi z pogardą życia i lekceważeniem swojego zdrowia...

Dobrze jeździć konno jest niemal obowiązkiem dla *very fine* wychowanej Angielki, podobnie jak u nas biegle mówić po francusku, albo grać na fortepianie; jeżdżą też, jak urodzone amazonki, ale często bardzo dla tej pasji narażają się na smutne następstwa.

Ciągle prawie kronika miejscowa notuje śmiertelne wypadki, spowodowane zbytnią gorliwością w sporcie łowieckim; co roku zdarza się, że któraś z arystokratycznych rodzin wdziewa żałobę po stracie młodej, zapalonej *miss*, co na błoniach, dla marnej, lisiej kity rozbiła sobie piękną głowę o kamień, lub drzewo!

Mimo to, polowania *par force* należą do prawdziwie narodowego sportu starej Anglji podczas czterech zimowych miesięcy i nigdzie nie można napatrzeć się na takie bogatwo rasowych koni, psów, dobór wybornych jeźdźców w pięknych kostjumach myśliwskich, szkarłatnych lub zielonych, co w połączonych królestwach Wielkiej Brytanji.

Należy to zresztą do dobrego tonu polować, z narażeniem własnego życia.

Każdy gentleman dobrze urodzony musi dla ocalenia i podtrzymania swej dobrej opinji w towarzystwie, poharcować od czasu do czasu za lisem *en risque de sa vie*; inaczej uważanym bywa za filistra i naraża się na wcale niezaszczytne przymówki...

Nawet wielcy mężowie stanu dla swej popularności muszą uprawiać sport myśliwski.

Uwielbiany Palmerston do sześćdziesiątego roku swego życia był jednym z najdzielniejszych i najśmielszych dojeżdżaczy w polowaniu na lisy i mógł się poszczycić całą kolekcją lisich ogonów, zebranych na różnych błoniach Anglji...

Najsławniejszy wódz Albionu Wellington urządzał łowy na mykitę podczas kampanji we Francji i Hiszpanji, prawie przed nosem nieprzyjaciół, stojących tak blizko, że się prawie przednie jego straże z forpocztami wrogów stykały.

Wellington w obcisłym granatowym fraku, w butach ze sztylpami, uganiał się po polach, jak gdyby między jedną a drugą bitwą potrzebował rozruszać się i rozerwać umysł...

Sportsmann i wojownik wielki w jednej osobie!

Lord Hartington, dzisiejszy członek gabinetu a przyszły zapewne następca p. Gladstona, należy do zapalonych myśliwych, i żadne zajęcia dyplomatyczne nie są zdolne zatrzymać go w domu, gdy w okolicy zapowiedziane zostało polowanie na lisa...

Jakkolwiek szlachetny lord jeździ konno lepiej od najdoświadczeńszego dżokeja, zdarzyło mu się przecież w roku zeszłym spaść z konia, skutkiem czego kilka tygodni przeleżeć musiał potem w łóżku.

Wówczas był on naczelnikiem partji opozycyjnej w izbie niższej, a choroba jego przypadła właśnie w chwilę nader ważnych rozpraw parlamentarnych.

Smutne doświadczenie zeszłoroczne nie było wszakże dla niego przestrogą; w tym roku pomimo poważniejszych zajęć i większej odpowiedzialności, wybrał się znów na lisy, nie bacząc na to, że w razie niefortunnego wypadku — działalność ministerjum byłaby znowu narażoną.

Cesarzowa austrjacka zyskała sobie u Anglików i Irlandczyków wiele sympatji z powodu swego zamiłowania do sportu łowieckiego.

Na wiosnę zazwyczaj wyjeżdża ona do Irlandji na polowanie a arystokracja angielska stara się jak najświetniej wystąpić w tym czasie, aby godnie uczcić jedną z najśmielszych amazonek współczesnych...

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 47. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.